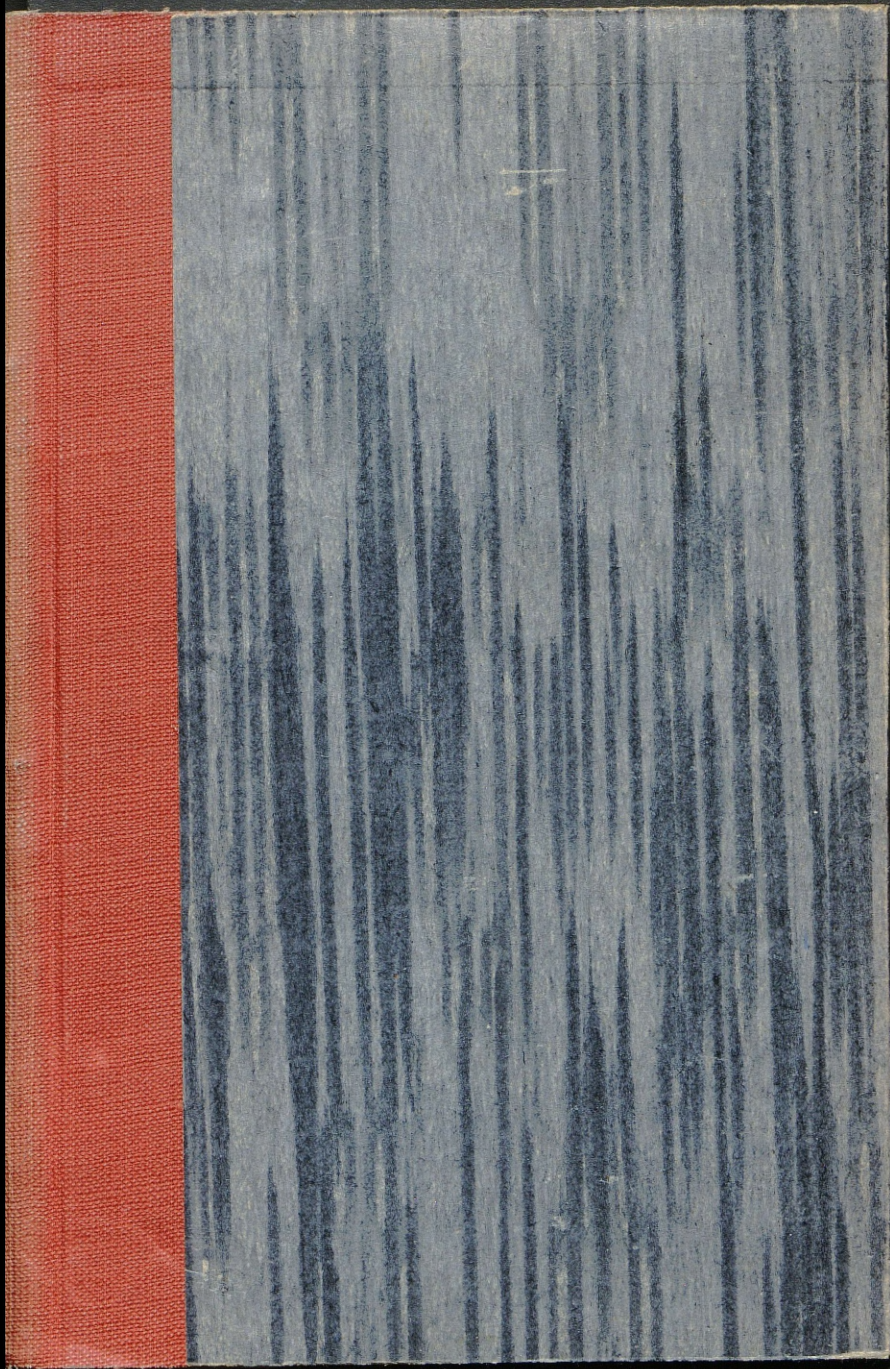
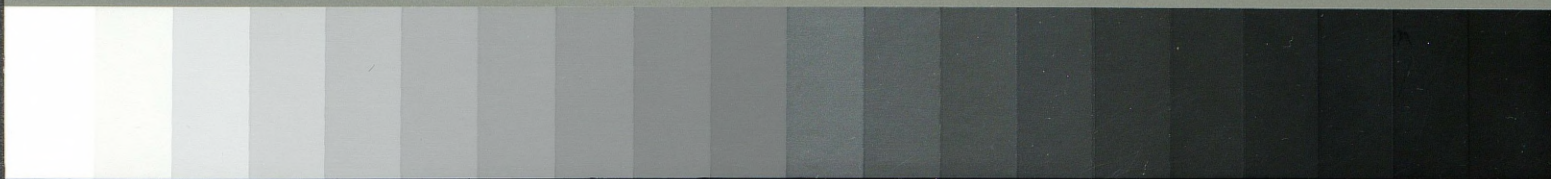


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



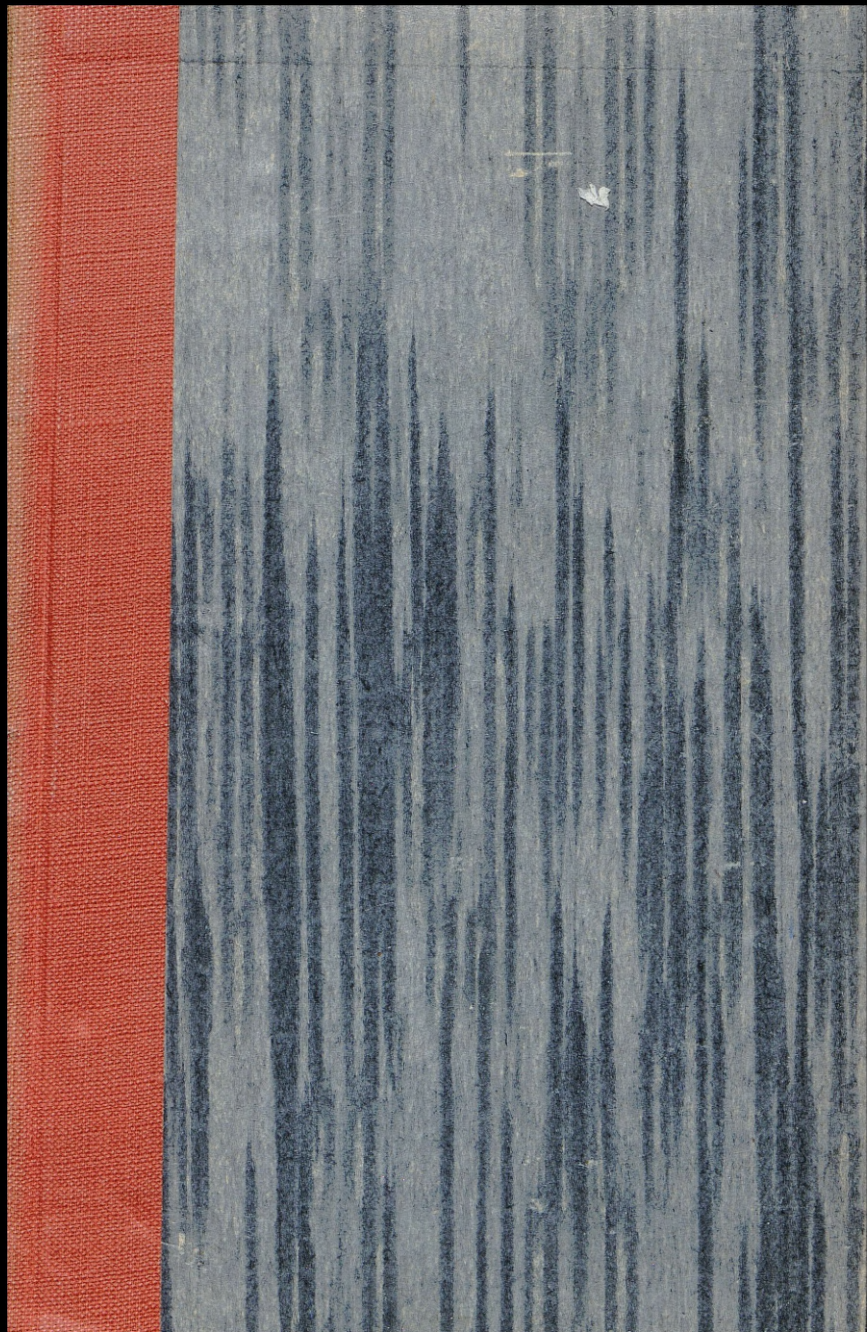
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black
------	------	-------	--------	-----	---------	-------	---------	-------

DANES-PICTA.COM



KAPŁAN W DZIEJACH LUDZKOŚCI.



BIBLIOTEKA «WOLNEJ MYŚLI» № 3.

---

Dr. ROBERT MANZONI.

---

# KAPŁAN W DZIEJACH LUDZKOŚCI.

ze wstępem  
WACŁAWA NAŁKOWSKIEGO.

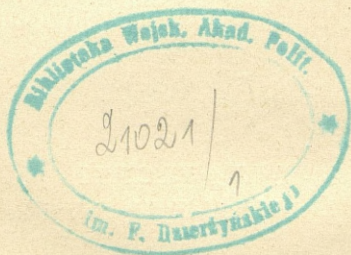


[defekt; brak wstępu]

WYDAWNICTWO  
«Polskiej Ligi Wolnej Myśli» Sekcji Paryskiej.

— 0 —

Skład główny przy wydawnictwach ST. KUCHARSKIEGO  
firma T. PAPROCKI i S-ka  
Warszawa, Nowy-Świat 37.



## I.

Pod powyższym tytułem chcę dać w krótkości całokształt historii wszelakich religji i zarazem dowieść tej prostej prawdy, że przedstawiciele tychże religji, kapłani, mimo pozornych różnic, jakoby między nimi zachodzących, są wszyscy wyznawcami pokrewnych dogmatów i obrządków religijnych. Głoszą oni swe boskie posłannictwo na ziemi i z niewzruszalną pewnością przywłaszczają sobie wyłączne prawo na prawdę. Każda z ich sekt ma się za jedyną, rzeczywicie wybraną, i posiadającą rację bytu, i tych wszystkich, co do niej nie należą, uważa za heretyków i odszczepieńców. Dzięki owocnej pracy kapłanów, doprowadziła ta wzajemna zawiść do tego, że teraz można przyrównać religje do tych psów z bajki, które, pokłóciwszy się, zaczęły się pożerać i w końcu nie zostało z nich nic więcej — prócz ogona.

Mój sposób wyrażania się może niektórym wydać się uchybiającym świętości religji, uprzedzam jednak, że nie będę mówił tutaj o religji, lecz o religjach. Między niemi a nią leży cała przepaść różnic, tak, iż możnaby odrzucić i wytrzebić z ziemi wszystkie religje, a religja by nietylko na tym nie ucierpiała, ale przeciwnie. Aby jednak nie tracić czasu na zbyteczne, długie przemowy, odpowiem zaraz na pytanie, które zawisło na ustach poczciwego ludu.

Dlaczego kapłani są zawsze i wszędzie jednokowi?

Dlatego, ludu kochany, że wszyscy oni z jednego pnia wychodzą, dlatego, że zjawienie się kapłana jest takim samym fenomenem historii naturalnej, jak każdy inny jej przejaw, który wobec pewnych praw istnienia, jednakich zawsze i wszędzie, nastąpić musi. Jeżelibyście się np. zapytali fizyka, w jaki sposób powstaje grad, odpowiedziałby bez wahania: gdy masa powietrzna, otaczająca ziemię, znajduje się w takich a takich warunkach wilgoci, temperatury, elektryczności, tworzenie się gradu niechybnie stać się musi.

Jeżeli zechcecie badać historję, odpowie wam to samo: gdy naród znajduje się w takich a takich psychologicznych warunkach, zjawienie się kapłana jest nieuchronne, jak nieuchronne, niestety, jest zjawienie się pewnego gatunku robactwa wśród brudu i zgnilizny.

Chcę więc teraz przystąpić do poszukiwania tych to warunków psychologicznych, które umożliwiły zjawienie się kapłana na widowni świata.

## II.

Ludy, tak jak jednostki, mają okresy swojego dzieciństwa i okresy starczej zgrzybiałości. Czyś nigdy, przyjacielu, nie zwrócił uwagi na małe dziecko? W oczach takiego maleństwa ma wszystko głęboki sens i jest używotnione. Gdy, tuląc się do piersi matki, jedną rączką obejmuje jej szyję, drugą posyła ono ukłony drzewom, stojącym przy jego drodze. Bawiąc się, gwarzy ze swojemi zabawkami, jakby były żywemi istotami.

Takimi także są ludy w pierwszych epokach swojego istnienia.

Wszystko ma dla nich duszę, wszystko wolę, wszystko żyje: wiatr, woda, ogień, słońce — wszystko. Jeżeli np. spada na nich jakaś wielka klęska: huragan, który z korzeniami wyrывa drzewa, stojące na straży ich marnego szałas, pożar, wywołany przez piorun, który padł na ich zbiory, zaraza niszcząca ludzi i bydło, trzęsienie ziemi, deszcz kamienny — wogóle jedna z tych niezliczonych katastrof, których natura nigdy nie skąpi człowiekowi, uważają je w swej naiwnej pierwotności za jakąś karę. Ale któż ich tak srogo karze? Napewno człowiek to jakiś wszechmogący i niewidzialny, jakaś siła wyższa, potwór i olbrzym jakiś, co zniszczenie sieje zdaleka, sam w ukryciu pozostając. Trzeba go złagodzić, uspokoić, trzeba uśmierzyć, rozbroić!... I wtedy człowiek, najczęściej kobieta-matka przerażona, pada na kolana i przyciskając wystraszone niemowlę do łona, wznosi ręce w tajemnicze, dalekie zaświaty, skąd padają okrutne pioruny i błyskawic blaski. I modli się na klęczkach, jak dziecię, które się do stóp zagniewanego ojca rzuca: «O Bóstwo wszechmogące, miej litość nad nami, zmiłuj się nad tym niewinnym stworzeniem...»

I wiatr w końcu ustaje, chmury się rozpraszają, na niebie ukazuje się złociste, uśmiechnięte słońce: «O wszechmogące Bóstwo, o Bóstwo niewidzialne, niechaj święte imię twoje będzie błogosławione», woła człowiek z wezbranego wdzięcznością serca, padając znowu na kolana.

Tak oto rodzą się religje, mój przyjacielu. Ale kapłani nie zaczęli jeszcze swego panowania. W tym pierwszym okresie ewolucji religijnej człowiek ma bezpośrednią styczność z Bogiem, wprowadzie niewidzialnym, ale którego białe skrzydła mu duszę muskają, którego czuje wszędzie, zanosi doń swe błagania, rozmawia z nim i uwielbia go, bez pomocy pośrednika.

Sześć tysięcy lat temu, gdy przodkowie nasi aryjscy paśli swe trzody na wyżynach Pamiru — takiej religji byli oni wyznawcami. — O ludu stokroć szczęśliwszy od naszego! Na skromne a wesołe ucztę zapraszali oni swe bóstwa i zasiadali z niemi do wspólnego stołu... Księgi Weddy, święte księgi starożytnych Indów, opowiadają nam o tym, że w tych pierwotnych czasach każdy mężczyzna był kapłanem swojej rodziny. Nazywano go Deva, co znaczyć miało bóg domu; po jego śmierci żona jego była uważana jako vi-Deva <sup>1)</sup>, czyli pozbawiona bóstwa domowego.

### III.

Ale, niestety, ta rajska prostota nie trwała długo. Niektóre ludy nie znały jej prawie wcale. Prędko bardzo w tym środowisku prostaczków zjawili się oszuści — oszuści są zwykle silnymi — a najsilniejszym jest ten, kto potrafił ogarnąć myślą wszystkie korzyści, jakie wyciągnąć może z ograniczoności i łatwowierności ludzi. Obserwował on, badał i rozumiał niektóre proste zjawiska natury, poznał lecznicze właściwości kilku roślin, umiał przepowiedzieć zmiany pór roku, pogody, zaćmienia słońca. Wiedział, jak i kiedy skończy się zaraza, dziesiątkująca jego współbraci. Pojawszy to wszystko, wchodzi w ich koło z wyglądem poważnym i majestatycznym. Chwila jest mu przyjazną. Całe plemię zwraca nań natężoną uwagę: stoi w milczeniu i gestem groźnym a uroczystym nakazuje posłuszeństwo. Potym przemawia i głosem pełnym tajemniczości objawia, że jest posłannikiem niewidzialnego Bóstwa, jego zastępcą — przedstawicielem Boga możnego, a okrutnego.

---

<sup>1)</sup> Vi—oznacza brak.

«O ludu bezrozumny i zły, woła grzmiąco, Pan niebios zagniewany jest na was, gdyż ciężkoście go obrazili... Daremne są łzy wasze i modlitwy, nie uśmierzycie jego boskiego gniewu: *desine fata Deum flecti sperare precando!* Łzy i błaganie wasze bez skutku przebrzmiają, jeśli nie zostaną poparte orędownictwem moim, jeśli nie wstawi się za wami głos namiestnika bożego, kapłana, któremu Bóg wyjawiał swoje święte życzenia. Otóż, zaprawdę powiadam wam, Pan niebios się objawił i stało się, żem Go usłyszał; zaprawdę powiadam wam, zgasi on światło słońca, spali wasze chaty, zniszczy was do szczętu, jeśli nie uznacie go za Boga waszego wszechmogącego i jeśli nie zwrócicie mu części należnej Jego Boskości z trzód i zbiorów waszych. Zaiste, jeśli pragniecie zbawienia, ludzie szaleni i przewrotni, przynieście mi waszą daninę, abym ją Bogu ofiarował, albowiem tym jestem, któremu on dał Boskie powołanie rządzenia wami. Zaufajcie mi, bym mógł się modlić za was, i gniew boski złagodziwszy, uczynić Go wam przychylnym.»

Lud z drżeniem pada na twarz i słucha. Uwierzył ze słów tego człowieka w jego tajemnicze posłannictwo, uwierzył tym łatwiej, że w Bogu widzi jakąś tylko ludzką, choć nieskończenie odeń wyższą istotę, z którą tak jak z wodzami ich plemion, tylko przez usłużnych faworytów i pośredników porozumiewać mu się wolno.

W ten oto sposób rodzi się, a właściwie zrodził się kapłan. Od tej chwili Bóg jest nie tylko niewidzialną istotą, ale staje się dla ludzi istotą niezrozumiałą, czymś, co wolno uwielbiać tylko w oznaczonych godzinach oznaczonymi obrządkami i oznaczonymi słowami, które kapłan jeden ma prawo im wskazać, narzucić i których nikomu zmienić nie wolno.

Obrządek się zrodził, dogmat się kształtuje,

wpływ i moc kapłańska się utwierdziła. Bóg stał się zależny od rozkazów kapłanów i między nim a ludem otworzyła się przepaść. Między kapłanem zaś a Bogiem stanęło milczące przymierze zaczepno-odporne tak, iż za bluźnierstwa przeciwko Bogu kapłan potępia i przeklina, za obrazę kapłana niszcząca ręka Boga dosięga winnego.

Cofnijmy się myślą wstecz, przyjacielu, w czasy Homera. Czy widzisz tego starca milczącego, co się ku nam zbliża? To wielki kapłan Apollona. Bezbożny Agamemnon odmówił mu oddania dziewczyny, która na niego przy podziale łupu wojennego przypadała, i teraz kapłan rozgniewany odeń się odwrócił i wzywa boga swego o pomoc. Apollo oburzony zstępuje z Olimpu i za pomocą strzał zatrutych sieje dżumę i śmierć po obozowisku bezbożnego przywłaszczyciela...

A teraz wróćmy do naszych czasów. Czy widzisz tego drugiego starca, co się ku nam zbliża? To wielki kapłan Rzymu. Jemu także przemocą wydarto jego skarb najdroższy i także bezskutecznie żądał zwrotu od bezbożnego przywłaszczyciela. «To święta zdobycz» odpowiedział mu Agamemnon rzymski. I kapłan milcząc odwraca się i drżąc świętym gniewem, wzywa niebiosa i czeka «zbrojnej siły», by się za «występne przywłaszczenie» zemścić...

Oto jest niema działalność kapłanów, oto epizod godzien pióra Homera z czasów, gdy legenda staje się już historją i ciemna poezja Ilijady zmienia się w ponurą prozę Encykliki i Syllabusa.

#### IV.

Ale to jeszcze nie wszystko, przyjacielu: kapłanowi nie wystarcza jego rola pośrednika, nie wystar-

cza przywilej objawień, mógłby bowiem dzień na-  
dejsć, w którymby się ludowi otworzyły oczy i szal-  
bierstwo ich zostałoby nareszcie odkryte. Trzeba te-  
mu zapobiec. Trzeba uprzedzić nieszczęście. «Bóg  
stworzył światło, szepce sobie kapłan — ja przywrócę  
ciemności na ziemi». I człowiek-lis pojął dobrze naj-  
skuteczniejszą, najstraszniejszą tajemnicę — tajemnicę  
zabicia rozumu! Zrozumiał on, że rozum ma w ka-  
żdym człowieku okrutnego, wrodzonego wroga, wyo-  
braźnię. Zrozumiał on, że wszystko, co podnieca  
i silnie o wyobraźnię uderza, zaciemnia i oslepia ro-  
zum. Jeżeli więc człowiek kierować się będzie tą  
pierwszą, rozsądek słabnie, zostaje porwany przez  
niezwyciężony szal i dochodzi do stanu, będącego ro-  
dzajem snu, w którym myśli krążą w kole niedorzecz-  
ności i wierzy się w nieprawdopodobieństwo.

Kapłan zauważył, że wyobraźnia jest bardziej  
pobudliwa u osobników o mniej silnym rozwoju: że  
łatwiej ją pobudzić u kobiety, niż u mężczyzny;  
u dziecka i starca osłabionego, niż u osoby dojrzałej;  
u chorych, niż u ludzi cieszących się dobrym zdro-  
wieniem; u plemion, które żyją w krajach gorących i ży-  
wią się przeważnie roślinnymi pokarmami, niż u tych,  
które zamieszkują ziemie północne, i których głów-  
nym pożywieniem jest mięso. Przedewszystkiem  
zaś zauważył, że nic silniej nie działa na inteligencję  
i nie mroczy bardziej umysłu, niż przygody niebez-  
pieczne, okoliczności cudowne, dziwne, fakty ważne,  
urozyste, tajemnicze, a niepojęte, jak np. mroki no-  
cy, milczenie opustoszałych lasów, samotność bezgra-  
nicznych pustyń, śmierć niespodziewana jakiejś osoby  
blizkiej, przypadkowe znalezienie trupa, widok krwi...  
Przejrzał on — i dostrzegł te smutne słabostki ducha  
ludzkiego — zrozumiał całą ich ważność — i przebie-  
gły spryt jego ześrodkował wszystkie swe usiłowania,  
aby z tej właśnie słabości ducha ludzkiego zrobić pod-  
stawę, piedestał swego królowania.

Spójrz — oto on. Stojem już wyróżnia od innych śmiertelników, głowę jego dostojną zdobi turban lub mitra, ciało przybrane w długą suknię lub płaszcz świetny i jaśniejący, w lewej ręce trzyma długi i dziwaczny kij, prawa ręka niezajęta, natomiast widnieją trzy palce z niej wysunięte, trzy palce, które się wznoszą i opadają w powietrzu, kreśląc jakieś linje niepojęte i tajemnicze. Na widok linji tych w powietrzu drżących pada całe plemię czołem na ziemię. Milknie tłum. Cisza głęboka... Pape satan, Pape satan aleppe, Rafel mai amee zabi almi! szepce kapłan językiem, którego nikt nie rozumie. Ale właśnie to, mój przyjacielu — to, że nikt słów jego nie rozumie, czyni je w oczach ludu bardzo godnymi poszanowania, świętymi. I lud, zmiażdżony mistyczną trwogą, powtarza za kapłanem: «Rafel mai amee zabi almi...» Potym wszyscy, jakby za znakiem jakiejś batuty niewidocznej, podnoszą się z ziemi i wyrzucają ochryple, zgłuszone dźwięki. Klękają znowu i pochylając głowę miarowym jakimś ruchem, biją się w piersi — rytmicznie, jakby koncert jakiś się rozgrywał — jakaś pieśń monotonna i śmieszna. Niestety, pieśń to jest, ale szaleństwa: te ruchy, te czyny, ten cały język tajemniczy — opętały już lud, uspiły jego rozsądek, przerodziły całą jego energję duchową w ślepą siłę maszyny, która działać może tylko za powiewem ich mistycznej mocy.

V.

Ale tryumf kapłana nie jest jeszcze zupełny: uspiiony rozum mógłby się zbudzić. Trzeba go tedy zgasić zupełnie, na zawsze... Zaczął apostoł ciemnoty szukać po temu sposobności i — znalazł ją... Zuchwały jakiś korsarz odważył się porwać towarzyszy-

każda jakiegoś plemienia. Aby zmyć krwią tę oki zniewagę, rozkazał wódz ludziom swoim uzbroić się i do walki przysposobić. Morze jednak leży przed nimi ciche i okręty ich przystani opuścić nie mogą. Wojownicy wzywają opatrność o wiatry przyjazne. Ale niebiosa są głuche na ich wołania — odpowiedzią im jest święta, niewzruszona cisza morza. Jakiś wrogi Bóg ich zatrzymuje: «Trzeba się Kalchasa spytać, woła jeden z dowódców, niech tu Kalchasa przywiodą.»

Kalchas, syn Thestora, najzręczniejszy ze wszystkich wróżbitów, znał terażniejszość, przeszłość i przyszłość...

I Kalchas się zjawia. Skromny napozór i pokorny, lecz z duszą pełną pychy: «Podła tłuszczo, myśli sobie, gdybym zechciał, sparaliżowałbym twe siły i zmusiłbym cię do złożenia u moich stóp wszystkiego, co posiadasz. Mógłbym cię skłonić do ciężkiego postu, kazać ci poszarpać twe ciało na strzępy własnymi rękami — nie boję się ciebie. Ale chcę złamać dumę tego śmiałka, który się ponad innych wynosi i zdaje się moim tajemniczym posłannictwem pogardzać. Niechaj on odczuje moc moją świętą na sobie. Niechaj on będzie uroczystym przykładem i posieje na długo zbawienny postrach wśród ludu...»

«Wiatry przyjazne wam nie będą — woła głośno — jeśli gniewu bożego nie uśmierzycie, tego gniewu, co spłynął na was za obrazę bożą. Dusze wasze konają z pragnienia krwi, ale i bogi są spragnione. Żądają one świetnej ofiary, któraby ich potęgi była godna. Ten Bóg, co wam dał wrogiem odnieść zwycięstwo, żąda przedtym nagrody: żąda krwi dziewicy, krwi pięknej Ifigenji, ukochanej córki waszego dostojnego pana. I wy się wahacie? Żal wam niewinnego życia? I cóż wiesz ty, marny gminie, o szczytnych i boskich tajemnicach? Zaprawdę, powiadam wam, umrzeć musi jeden dla zbawienia wszystkich...

(oportet ut unus moriatur homo pro populo). A zatem niechaj się święta ofara stanie...»

...I mamy je, to przerażające, zgubne słowo, tę straszną, ohydną tajemnicę: Ofiara! Wszystkie religje świata, ludów najdzikszych i cywilizowanej Europy, obracają się koło okrutnej osi, wszystkich ich mocą i punktem oparcia jest: ofiara. Jest tak, jakby ludzkość we krwi poczęcia swych bogów szukała i dopiero krwią ofiar napojone, czcić mogła... Śmiało rzec by można, że powstanie i ujście religji było krwawą tragedją. I dlatego, przyjacielu mój, faktem niezbitym jest, że teatr zrodził się w świątyni...

W osiem wieków po epoce Ifigenji stoimy na Akropolis w Atenach pod wspaniałą kopułą teatru Djonizosa. Powiedziałem teatru, właściwie rzec należało świątyni, bo Djonizos jest Bogiem. Czy widzisz ten chór otoczony orkiestrą, co tańczy naokoło ołtarza? Oto po ośmiu wiekach chór ten obchodzi uroczystość ofary Ifigenji. To ona, ta dziewica, piękna córka Agamemnona, co zbliża się z pieśnią na ustach... Posłuchaj, jak rzewnie śpiewa, uderzając w lirę Ifigenji:

«Przynieście girlandy kwietne, co uwieńczyć mają  
«moją głowę, przystrojcie godnie włosów moich bujne  
«sploty; wody świeżej ze źródłu przynieście i opasz-  
«cie kręgiem tanecznym świątynię, opaszcie kręgiem  
«tanecznym ołtarze i Djanę wezwijcie wszechwładną,  
«Djanę po stokroć błogosławioną, gdy idę już — wołą  
«wyższą wezwana dać wyroczni ofiarę z krwi mojej  
«młodej...»

Posłuchaj, co chór odpowiada:

«O dostojna bogini, która znajdujesz upodobanie  
«w krwi ofiar ludzkich, zaprowadź wojska Greków  
«do Troi i na ziemię frygijską — do tego kraju zdra-  
«dy i siedliska wiarołomstwa, i spraw, by Agamem-  
«non i armja jego odniosła zwycięstwo nad wrogiem,

«wieńcem chwały ojczyznę swą oplotła i sławą nieśmiertelną czoło jej opromieniła...»

Biedna dziewczica, z pokorą zdaje się na wolę bogów... Śpiewa jednak jeszcze, posłuchaj:

«O dniu jasnością lśniący — o ty światło Jowiszowe!

«W inne odchodzę życie i inne jest me przeznaczenie.

«Żegnaj mi, cudna światłości...»

Teraz, przyjacielu, powędrujmy do Rzymu. Wieczór wigilijny roku 1900. Noc na świecie, noc czarna. Blade, mgliste światło, co nam z wysokich okien na drogę pada, rozprasza trochę ciemności i nęci nas do przestąpienia progów tego pysznego gmachu. Wstępujemy. Co za cudne drżenie światła mrok roziskrzających, co za przedziwne, subtelne wonie zalewają falą kościół, co za muzyka jakaś niebiańska... Świątynia-ż to, czy teatr? Nie wiem tego, przyjacielu... Widzę tylko ołtarz i chór — i widzę, że tutaj także obchodzą święto jakiejś ofiary niewinnej, poświęca się hostję... Więcej nawet... Nie widzisz tego człowieka tam, na najwyższym stopniu ołtarza? Tego koryfeusza celebrującego mszę świętą? W tej oto chwili ten człowiek jest Bogiem, gdyż pije on Krew ofiary boskiej i spożywa jej Ciało święte... Krew, ofiara tajemnicza, kanibalizm, teofagja—oto tajemnice religji, to, co najsilniej na wyobraźnię działa, co najpotężniej serce wzrusza, co najbardziej rozum mąci i woli odbiera całą siłę oporu przeciw sugestjonalnemu działaniu tej uświęconej szarlatanerji.

W Byblos jak w Jerozolimie, w Jerozolimie jak w Babilonie, w Babilonie jak w Persepolis, w Persepolis jak w Benares, w Benares jak w Meksyku, w Meksyku jak w Tebach, w Tebach jak w Eleuzis, w Eleuzis jak w Rzymie, w Rzymie starożytnym jak w Rzymie nowożytnym: wszędzie poświęcenie, wszędzie ofiara... Ofiara Adonisa, ofiara Abrahama i Jef-

tego, ofiara Baala, ofiara Mithry. ofiara Râny i Krisz-ny, ofiara Huicilopochtli, ofara Osiryasa, ofiara Jakóba, ofiara Bachusa, ofiara Baranka Bożego, który gładzi grzechy świata: Agnus Dei qui tollit peccata mundi! Wszędzie i zawsze te same krwawe ślady: krew u stóp krzyża na szczycie Golgoty, krew u stóp skały w górach Kaukazu: dwa boskie duchy giną za grzech dobra, za to, że śmiertelnikom światło dać chciały. Na Golgocie i w skałach Kaukazu odprawia się ten sam ponury i niegodny obrządek, ta sama zbrodnia ciężka na ludu wyobraźnię uderza, umysł mroczy i serce żalem zalewa.

Cicho! u stóp skały przesuwa się tłum nikczemny i mały. Teraz ich jest Moc, ich Siła, nie boją się już swej ofiary, znieważają ją.

«Opluwaj ty teraz bogi, odbieraj im dostojęństwo, zwlecz je z ich piedestału w szeregi przemijającej znikomej ludzkości. Któż z śmiertelników złagodzi twoją mękę, Prometeuszu! <sup>1)</sup> Imię to już nie odpowiednie dla ciebie... ty sam potrzebujesz Prometeusza, by cię od mąk twych zbawił...»

Cicho!.. U stóp krzyża sunie tłum nikczemny: pisarze, duchowni, faryzeusze. Nie boją się już ofiary i znieważają ją teraz:

«Niechaj zejdzie on z krzyża, ten co innych zbawiał, a teraz siebie zbawić nie może! *Descendat nunc de cruce! Alios salvos fecit, seipsum non potest salvare!*»

I tak jeden męczennik, jak drugi, konają opuszczeni przez wszystkich, prócz małej garstki rozsłochanych kobiet, nimf oceanu i niewiast galilejskich: *erant autem et mulieres de longe aspicientes!*... O wieczysta epopeo cierpienia i śmierci, ty, która wierzysz z jednakim zapałem i wrażliwością dramatom Eschi-

---

<sup>1)</sup> Prometeusz — «Zbawiciel».

losa i Ewangelji św. Marka, Râmâjanie Valmikięgo i księgom Joba, Jerozolimie Wyzwolonej i Koranowi, prześladowaniom Djoklecjana i nocy św. Bartłomieja, rydwanowi w Jaggrenat i stosowi Giordana Bruno, Kalchasowi i Torquemadzie, tajemniczym obrządkiem Cerery i Różańcowi, orgjom djonizyjskim i zachwyce-  
niom Serca Jezusowego! Krew, wszędzie krew — i jako wieczne jej uświęcenie: Ofiara. Oto ono, to słowo zgubne, w którym leży cała tajemnica, cała treść wszystkich religji.

## VI.

I szkoła tajemniczości rozpoczyna się bardzo wcześnie. Dziecię, które ujrzało po raz pierwszy światło dzienne, szuka instynktownie miękkiej piersi matki, ale niestety, zamiast niej, spotyka się z ohyd-  
nymi nożycami rabina lub imama, które gwałcą i plamią jego czyste, bezbronne ciało... Cierpliwości, biedne dziecię... Bóg Adonai żąda od ciebie tej ofiary, cierpliwości... a cząstką ciała twęgo przyczyniłeś się do szczęśliwości twęgo Boga!...

Oto drugie dziecię, co dopiero ma się narodzić które jeszcze światła \*nie oglądało. Ale matkę już zdążono przekonać, że w grzechu zostało poczęte, że był Bóg, który kiedyś dlań zrobił ofiarę, więc Bogu temu trzeba je poświęcić w chwili jego urodzenia. I narodziło się biedne maleństwo. Głośnym płaczem wita świat, na którym złote słońce opromienia tyle... głupoty. Biedne dziecię! Ty także tulisz się do matki i spragnionymi usteczkami szukasz jej białej piersi, ale mrożąca dłoń księdza odrywa cię od jej wonnego łona, bolesnym niezręcznym ruchem za kark wciągnę cię chwyta, potraça cię, myje, namaszcza, brudzi... jakbyś był jakimś prostym sprzętem kuchennym!...

O, boś ty jeszcze nie zrozumiał, malutki, o, boś ty nie pojął jeszcze świętej, wzniosłej tajemnicy boskości...

Ale, gdy ją zrozumiesz, będzie już za późno!

Wzrastając i rozwijając się w atmosferze wrogiej naturze, ludzkości i rozumowi, z imaginacją przeżyconą smutnemi, tragicznemi a dziwacznemi i śmieszniemi urojeniami, z sercem znieprawionym przez hermafrodytyzm uczuciowy, odsuniesz się może jednak na chwilę od tej świątyni tajemniczości i ofiary. Odsuniesz się wtedy, gdy w żyłach twych zakipi zbudzona męskość i uderzy świeżą siłą o tkanki twego mózgu, wlewając soki żywotne w jego komórki rozmiękczone przedwczesnym przyduszeniem ducha. Ale ta mistyczna gangrena, to gnicie ukryte, ten święty syfilis, który tymczasem przeszedł w stan stały, przy pierwszych sprzyjających okolicznościach rzuci na ciebie znowu swą zarazę, i dawne chorobliwe, odziedziczone od całego szeregu poprzednich generacji nawyknięcia umysłowe obejmą nad tobą swe panowanie i pchną cię w ramiona, a raczej w paszczę człowieka-tajemnicy. Czyż znajdzie się Pasteur, który potrafi wyleczyć nieszczęśliwą ludzkość z tego zarazka religijnego i zniszczyć na zawsze bacyle boskości? <sup>1)</sup>

Rzeczywiście, że biorąc religje z punktu pojęć ludu, nie są one niczym innym, jak tylko ciężkim

---

<sup>1)</sup> Nie odpowiem tutaj na to pytanie, uczynię to natomiast w książce zatytułowanej: «Pochodzenie pojęć moralnych i religijnych ludzkości», z której to książki niniejsza praca jest tylko małym urywkiem. Tymczasem jednak człowiek-tajemnica zajmuje się rzucaniem na mnie gromów zamiast starać się mię zrozumieć. Wiem, że żałuje on szczerze, nie mogąc dla świętej ofiary spalić mię na stosie. Niestety, stosy wyszły z mody. Ale zapamiętam jego dobre zamiary i chęć zbawienia mej duszy. W myśl tych szczytnych pragnień przebaczam mu z góry wszystko, co o mnie złego dowie. (*Przyp. aut.*)

stanem newrozy, zjawiskiem umysłowej patologji z zakresu zjawisk halucynacyjnych, szaleństwem, histerją-epilepsją... Ale odwagi, przyjacielu, nie wszystko jeszcze stracone.

Dnia pewnego, może tylko przypadkowo, padła z ust jednego Boga, Bráhmę, ta wzniosła myśl: «Rzuciłem na jedną szalkę wagi prawdę, a na drugą tyśiąc czynów, prawda zwyciężyła...» A zatem, odwagi, przyjacielu, odwagi...

## VII.

Przyrzekłem ci, przyjacielu, że postaram się przedstawić analogję, powinowactwo, łączność i idencjonalność wszystkich religji i wszystkich kapłanów świata; przystępuję więc do spełnienia obietnicy.

Jeżeli masz jeszcze łzy, przyjacielu, przygotuj się, że je teraz przelejesz; jeżeli masz serce, to pęknać ci może. Będę ci opowiadał (z dokumentami w ręce <sup>1)</sup>) o szkaradach, bestjalności, ohydzie, okrucieństwach i obrzydliwościach, czynach haniebnych i bezceństwach, których dokonali ludzie i dokonywają dalej bezkarnie i podle, pod ochronnym płaszczkiem religji. Jak wszędzie, tak i tutaj graniczy komizm z tragizmem, ale nie śmieć się, przyjacielu,

---

<sup>1)</sup> Dokumenty te znajdzie czytelnik w pracy powyżej zapowiedzianej. Tu sądzę, wystarczyć musi, wymienić tych autorów, którzy byli źródłem moich badań i moimi przewodnikami: Spencer, Taylor, Stuart Mill, Max Müller, Darwin, Haeckel, Lubbock, Bastian, Maudesley, Bain, Van der Berg, Reville, Topinara, Letourneau, Balle, Lange, Vogt, Mortillet, Michelet, Rénan, Vacherot, Renouvier, Soury, Baissac, Verou, Girard de Rialle, Meunier, Volney, Verati, Franchi, Trezzo, de Gubernatis, Bertini, Strauss, Peschel, Penka, Schrader, Hartmann, Schopenhauer, Hellenbach. (*Przyp. aut.*)

bo śmiech twój byłby podobny do śmiechu niegodziwego Chama, który się cieszył z nagości swojego ojca. Płacz lepiej, przyjacielu, płacz — ale miej nadzieję...

Znamiennym rysem wszystkich religii jest fakt, że z chwilą, gdy uczucia religijne przyjmują formę kultu zewnętrznego, t. j. gdy kapłan się zjawia, następuje zupełny rozdział religii z zasadami, moralnością i zdrowym rozsądkiem. Kapłan dąży do jednego celu: powikłać, zatrwożyć, zniweczyć rozum. W starożytności mówiono o głowie Meduzy, która zamieniała w kamień wszystkich na nią spoglądających; religja w rękach kapłanów staje się *ipso facto* głową Meduzy, która w kamień obraca rozum — a tym samym i serce ludu. Tajemnica jej została niegdyś rozwiązana przez sławnego archimandrytę: «Nie chodzi o to, aby działać sprawiedliwie, ale o to, by działać silnie.» I kapłan z cynizmem rozwija swoją taktykę. Dusza ludu potrafiłaby się wznieść do niebios, aby znaleźć Boga, ale kapłan ją zatrzymuje przez cud niesłychany: zmusza on Boga do zstąpienia z swych wyżyn dla wcielenia go w jakiś przedmiot najprostszy choćby, najmarniejszy nawet: w kamień, drzewo, kota, byka, krokodyla, nawet osła, tak, iż kapłan na cześć osła hymny pochwalne śpiewający, może złośliwie utrzymywać, że człowiek jest rzeczywiście stworzony na obraz i podobieństwo Boga.

Przeczytaj rozdział XXVIII Genesis, a zobaczysz Jakóba, który zbudziwszy się pewnego poranku, wziął kamień, służący mu w nocy za posłanie, wzniosł z niego pomnik, i lejąc święte oleje na jego wierzchołek, nazwał go Betel, co znaczy dom Boga.

Otwórz następnie księgę Izajasza (rozd. LVII) a zobaczysz, że wszystkie gładkie kamienie były czczone przez naród, jako wcielenie Boga: »Między gładkim kamieniem potokowym jest dział twój. Cić są

ci losem twoim, na które też wylewasz ofiarę mokrą, a ofiarujesz ofiarę śniedną...»

Pomyśl także o czarnym kamieniu Kaaby, przed którym cała Arabja na twarz padała; teraz jest on podstawą świątyni Mekki i czczony nadal przez tysiące wiernych.

Zresztą pierwotna ta forma kultu i w naszych krajach niezupełnie znikła. Pamiętam, że raz widziałem w paśmie gór Jura (kantonie berneńskim) z gruba ciosany, jednolity kamień, przypominający skałozłomy galijskie z czasów starożytnej religii Druidów, który do dziś dnia czczą, jako święty, i dzieci czasami naokół niego wykonywają jakieś mistyczne tańce. W St. Ours, w departamencie Alp Niższych, znajduje się skała, na którą wchodzi dziewczęta, pragnące zamążpójścia. Jeśli pojedziesz do Irlandji, to tam mieszkańcy Juiszei wielbią jakiś kamień szczelnie pokryty wełną i publicznie oddają mu cześć w czasie burzy i wichrów gwałtownych, błagając, aby przez swoje święte właściwości zmusił wiatry do przypędzenia na ląd jakiego okrętu i bogatym ich obdarzył łupem. Z tym kultem kamieni związany jest kult gór, za którego to sprawą uświęcono w czasach starożytnych góry Sinai, Tabor, Hermon, Liban i setki innych. Zdaje mi się również, iż się nie mylę, przypisując przeżytkowi tego kultu obecny zwyczaj nadawania góróm nazw ludzi czczonych, a nawet świętych, np.: św. Gotharda, św. Bernarda, św. Zbawiciela i t. d.

### VIII.

Cóż ci powiedzieć, przyjacielu, o użytkownieniu świata roślinnego? Starożytni Persowie czcili pod imieniem Abudada, boga, który był jednocześnie drze-

wem i człowiekiem. Skandynawowie uważali sosnę za rodzicielkę ludzi. Pelazgowie uwielbiali dąb Dodony, galijscy Druidzi czcili go na równi z jemiolą, do dziś dnia wielbią na wschodzie lotos, jako święty kwiat. Ale po cóż sięgać tak daleko, przyjacielu? Oto przypominam sobie jednego doktora, profesora przyrody i kolegi mojego z Lyceum Campanella w Kalabrii. Zacny był pocziwina, ale wychowany w starej szkole religijnej. Kiedyś wezwałem go do mojego chorego dziecka. Z głębokim przekonaniem zapytał mnie, czy hoduję u siebie pewną roślinę z rodzaju kaktusów, która posiada wspaniałą właściwość działania przeciwko czarów urokowi. «Jeżeli jej niema, dorzucił, to trzeba dziecku sprawić rożek obfitości z koralu...» Czyż nie widzimy sami, że włoscy wieśniacy, gdy burza opustoszy ich pola lub zniszczy zbiory, spalają «od uroku» gałązkę oliwkowego drzewa? Ta gałązka oliwki jest fetyszem roślinnym, który kapłan własnoręcznie przygotowuje i co rok dla łatwowernego ludu odświeża...

Uśmiechasz się, przyjacielu, jak gdybyś chciał powiedzieć: zgadzam się na boga—kamień, na boga—roślinę, ale bóg — zwierzę? Bóg zwierzę, mój drogi, ma prawo stanąć w tym szeregu na pierwszym miejscu. Wszak to kapłani zrobili z Boga, w którego ty wierzysz, baranka, i Ducha św. umieścili w ciele gołąbki? To symbole, odpowiesz mi. Bardzo słusznie, przyjacielu, ale kapłan tak znakomicie umie utożsamić symbol z boskością, że ta ostatnia się w niego zamienia i staje przedmiotem widzialnym, dotykalnym, nawet artykułem handlu, dającym się znakomicie zbyć na rynku świata. Z tego też źródła wziął początek przesąd talizmanów i amuletów, który się w krótkim czasie rozpowszechnił u wszystkich narodów. Dlatego lud do dziś dnia z czcią całuje drzewo, marmur, różne metale, nawet gips, z którego ulepili posągi świętych lub bożków, z przejęciem uwielbia *agnus*

*dei* z wosku, gołębicę z kruchego ciasta i nawet, jeżeliby kapłan tego zażądał, hołd by oddał wieprzowi św. Antoniego. I wierzaj mi, przyjacielu, jak tylko kapłan ma moc rządzenia, może rozkazać boskości zjawienie się pod każdą jemu odpowiadającą postacią. Przypomnij sobie znaną bajkę Lafontaine'a. Rzeźbiarz sprowadził sobie kawałek marmuru.

«Cóż uczyni z niego moje dłóto?»

«Będzież on bogiem, stołem czy misą?»

Imaginacja ludu w rękach kapłana. jest właśnie tym kawałkiem marmuru w rękach rzeźbiarza.

## IX.

Zresztą jest jedno prawo, jedna zasada, która wprowadza ład w tym zoomorfizmie teologicznym w kwestji uosobienia boskości w ciele zwierzęcia. Ta zasada, którąby można nazwać geograficzną, dałaby się tak wyrazić: Bóg danego narodu podobny jest zawsze do tych zwierząt, które wzbudzają w narodzie największy postrach swą złością lub okrucieństwem, a także do tych, które są łagodne i największy pożytek przynoszą mieszkańcom tegoż kraju. Człowiek uwielbia w równej mierze to, czego się najbardziej obawia, jak to, co ceni najwięcej. Religje są mieszaniną dobroci i złości i gdy znikną z ziemi, zostawiając panowanie jedynej wielkiej Religji Prawdy, wtedy pokolenia przyszłej ludzkości napiszą na grobie umarłych bogów te proste słowa: «dzieci niezgaszalnej nienawiści i nieposkromionej miłości...»

Właśnie w myśl tej powyżej wspomnianej zasady czcili Egipcjanie krokodyla. Kapłani wybierali jednego i wychowywali go w specjalnie na ten cel przeznaczonym miejscu, stroili go w klejnoty i kar-

mili najwyszukańszemi potrawami. Trupa jego balsamowali i z wielkim ceremonjałem przynosili go do osobnego, świętego grobowca, aby tylko prochy boskiego zwierzęcia nie zetknęły się ze szczątkami zwyczajnych śmiertelników rodu krokodylego. Opowiada nam to Diodor, opierając się na słowach Herodota, i honny soit qui mal y pense (Herod. II, 69).

Temu kultowi nietylko się jedni kapłani oddawali; albowiem gdyby tak było, pozostałby krokodyl najpowszedniejszym z wodoziemnych zwierząt Nilu. Kult ten był jednak praktykowany przez cały lud, z jednej strony przez tych, którzy weń rzeczywiście wierzyli, z drugiej zaś przez tych, którzy byli świętemu kolegum tyle pieniędzy winni, ile ważyła połowa włosów ich dzieci, — takie bowiem było prawo dla wszystkich tego kraju mieszkańców. W Egipcie, jak zresztą wszędzie, życie kapłanów należało do najmilszych — uprzywilejowanych. Codziennie, mówi Herodot, który wie o tym od nich samych, otrzymują oni wielką ilość wina, mięsa wołowego, gęsiny. (Herodot II, 37).

Kult krokodyla panował jeszcze w wielu innych krajach. Guard de Rialle opowiada, że w Malezji czczą go przez wielkie uroczyste pochody, ze śpiewem i muzyką, przez dary spożywcze (specjalnie tytoń), w kilku zaś miejscowościach nawet przez ofiary z młodych dziewcząt i chłopców.

Niemniej rozwiniętym w innych krajach, np. u niektórych ludów Afryki jest kult węża. W Egipcie był on czczony na równi z krokodylem; tam też dla zasady wręcz przeciwnej uwielbiany był ptak Ibis, który niszczył węże... Zabicie ibisa było największym świętokradztwem, karanym przez kapłanów śmiercią. Oto, gdzie zawędrowała etyka religijna.

U niektórych plemion Brazylii i Argentyny istnieje do dzisiejszego dnia kult jaguara, w Jukatanie kult lwa, w Arabji, pomimo monoteizmu islamskiego, wie-

rzą, że kot, zwierzę inteligentne i rozważne, towarzyszy wiernym do raju; koń zaś, wierny towarzysz Araba, umie, podług wierzeń ludu, czytać i rozumie bardzo dobrze Koran. Białego słonia czczą w Sjamie, jak Dalajlamę w Tybecie, lub Papieża w Rzymie — wszystkich trzech bowiem uważają za przedstawicieli Boga na ziemi...

Ale byk i osieł, zapytasz? Byk, mój kochany przyjacielu, był tak świętym dla Egipcjan, jak krowa dla narodów weddyjskich. Bóg—Apis posiadał w całym Egipcie, szczególnie zaś w Memfisie, świątynie nadzwyczaj okazałe i kosztowne, a także swoje rozległe włości, z których dochody utrzymywały szkołę kapłańską, w której uwielbiano Apisa, jako wcielenie boga Amona. Śmierć jego okrywała żałobą cały Egipt i trupa jego po zabalsamowaniu chowano uroczyście w wspaniałej świątyni Serapis koło Memfisu. Zbezczęścić jego mumię było takim samym przestępstwem i świętokradztwem, jakim dziś byłby w oczach łatwowiernego ludu czyn rzucenia na wiatr relikwji jakiego świętego. Ale czas, przyjacielu, okrutnym jest sędzią; jeżeli nowoczesni Egipcjanie znajdują jedną z takich starożytnych mumji, używają jej na opał. Mądra nauka, przyjacielu; gdybyż ludzie umieli z niej skorzystać...

Co zaś do osła, to przypomnę ci tylko balaamskiego osła, który, jak ci wiadomo, będąc narzędziem woli boskiej, tyle pięknych rzeczy ludowi powiedział: *aperuit Dominus os asinae et locuta est* (Numeri XXII, 27—28). Cud—powiesz. Ależ nie, przyjacielu, ja uważam to za zupełnie naturalne, że boskość przemawia przez usta osła; trzeba tylko wiedzieć, jakim sianem go żywić, a istnieć będzie tak długo, jak istnieć będą Balaamici, skłonni do słuchania go i wierzenia jego słowom.

X.

Dotychczas zajmowaliśmy się tylko stroną komiczną hierofantyzmu: bóg-kamień, roślina i zwierzę, to były dopiero pierwsze kroki kapłana: tymczasem chciał on wstrząsnąć człowiekiem i zachwiać jego intelektualny organizm. Upiór, którego wynalazł, żeby rozbijać imaginację ludu, jest ohydny i głupi, a jednak umysł naiwny zahypnotyzowany wpada w stan do snu zbliżony: wyobraźnia jest podniecona, zwichrzona: rozsądek chce ją zmusić do oporu i przeciwdziałania, lecz wola przez świętą Meduzę sparaliżowana, musi się w końcu poddać czarownemu wpływowi upojnych halucynacji. I oto wyobraźnia trjumfuje, a rozsądek wierzy (*credo quia absurdum*).

Nie wystarcza jednak wierzyć: umysł prawdziwie religijny powinien się obawiać, powinien nawet drzeć: obawa i przerażenie, oto dwa najpotężniejsze czynniki pomocnicze wiary. Kapłan, który instynktem zna patologję duszy ludzkiej, zatrzymuje się dopiero, gdy te zjawiska się objawiają. Jemu nie wystarcza, że wprowadził w stan beczyny naturalny kierunek myśli, że zniszczył życiowe aksjomaty, że wzburzył wszystkie władze mózgowe, zachwiał w człowieku samopoczucie pewności. Nie wystarcza mu, że jego własnym dziełem jest teoria cudowności, że wstrząsnął on wiedzę w jej podstawach, nie wystarcza mu, że z człowieka normalnego zrobił niewolnika swych przywidzeń, poprostu szaleńca; on musi mieć jeszcze jagniątko, baranka, kózkę, stworzenie jakieś płochliwe, które mu służyć będzie za podnózek, ułatwiający świętym jego stopom drapanie się na trójnóg, z którego do ludu przemawia. Największą troską kapłanów wszystkich czasów było dążenie do wzmocnienia mocy Boga lub przynajmniej utrzymania jej w tym samym poszanowaniu, w jakim była dawniej. Oni

wiedzą, że im większym będzie Bóg, tym większą jego powaga — przez to i siła jego namiestników ziemskich. Jeżeli chcesz kwestję tę bliżej zbadać, przyjacielu, to zobaczysz, że kapłan przez władzę lub też wszechmocność Boga, nie rozumie mocy prawdy, piękna i dobra, lecz przeciwnie coś materialnego, identycznego z siłą, np.... armatnią. Dla kapłana ubóstwienie Boga nie jest potrzebą, jest tylko uwielbieniem siły, a dla zwykłego śmiertelnika obawa przed Bogiem jest tylko obawą przed tajemnicą i kapryśną siłą

*...che atterra e suscita  
Che affana e che consola. <sup>1)</sup>*

Aleksander Manzoni powiedział tutaj to samo, co każdy najdzikszy nawet mieszkaniec Polinezji.

...Powtarzam ci, przyjacielu, kapłan chce, by się ludzie bali i drżeli. A cóż więcej przeraża, jak śmierć? W pismach świętych zowią ją »królową trwogi«. Kapłan zatem posiłkuje się śmiercią z okrutną złością, nie przebiera w środkach, aby tylko silnie na imaginację wierzących podziałać. «Bez śmierci, rzekł pewnego dnia Schopenhauer, parafrazując ideę Sokratesa, filozofja nie byłaby się pewnie zrodziła.» My zaś, przyjacielu, możemy na znacznie pewniejszych podstawach powiedzieć, że bez śmierci nie utrzymałyby się religje. Któż może zliczyć bezmiar ofiar ludzkich, ofiar nieszczęsnych, co padały tysiącami u stóp ołtarza, by złagodzić bóstwo rozgniewane, w rzeczywistości zaś dlatego, by zastraszyć wyobraźnię ludu, uczynić go uległym i zrobić zeń bierny oręż w rękach kapłanów?

Cała księga nawet tysiącotomowa nie wystarczyłaby na opowiedzenie tej ohydnej historii, o któ-

---

<sup>1)</sup> która obala i podnosi,  
która zasmuca i pociesza.

rej zamierzam ci wspomnieć, przyjacielu. Dobrze bowiem jest mieć przynajmniej pewne pojęcie o tym. Otwieram znaną książkę Revillea o religjach Meksyku. Mówiłem już o bogu Huicilopochtli, ale nie opowiadałem jeszcze o obrządkach ofiarnych kapłanów meksykańskich. Huicilopochtli był najwyższym bogiem tego plemienia, nim jeszcze Hiszpanie zagarnęli jego ziemię. Bóg ten zrodził się z wiązanki piór, które spadły z niebios na niepokalane łono jednej dziewicy. Był on bogiem wojny, meksykańskim Marssem, Sabaothem.

Spójrz, wszak widzisz ten długi łańcuch więźniów. Oto ofiary bogu temu poświęcone.

Msza Huicilopochtli rozpoczyna się. Kapłan, przystrojony w biały płaszcz, niesie w rękach bożka, ulepionego z pszennej mąki i miodu, o zielonych oczach i żółtych zębach. Wolno wstępuje na stopnie do świątyni wiodące, siada na wzniesieniu i rzuca więźniom słowa:

— Oto Bóg wasz...

Poczym schodzi z podniesienia, staje na czele orszaku więźniów i prowadzi ich do ogrodu świątyni. Tutaj zdejmuje z nich łańcuchy i jeden po drugim wchodzi na pagórek, na którym oczekuje go sześcioro kapłanów, dostępujących zaszczytu ofiarników. Dwóch chwyta ofiarę za ramiona, dwóch za nogi, jeden za szyję i kładą go wznak na wypukłym kamieniu. Wtedy zbliża się szósty i główny kapłan, odziany w płaszcz purpurowo-krwisty, przystrojony złotymi obręczami i kolcami, z twarzą czarną, smołą pokrytą. Zbliża się wolno i kładzie swą lewą rękę na piersiach skazańca, a prawą, uzbrojoną w nóż z zaostrego kamienia, otwiera je, wrywa serce i wznosi je ku niebiosom jeszcze życiem drgające i gorące, aby słońcu ofiarować jego pierwsze, parujące tchnienia.

Potym też krwią gorącą pomazuje oblicze swego boga, zwracając się doń z długimi przemowami.

W ten sposób mordują jednego po drugim tysiące  
nieszczęsnych więźniów,

## XI.

Ale piekielna msza jeszcze nie skończona, kolej  
na mszę bardziej może uroczystą. Na żądanie kapła-  
nów dwie młode dziewczyny ulepiły innego bożka:  
z mąki i miodu. Kapłani go błogosławią, poświęcają  
i ogryzając go, dzielą jego święte szczątki między  
lud, co wielką ławą u ich nóg leży i łzy rozczulenia  
przelewa w tym świętym przekonaniu, że spożywa  
ciało i krew Boga Huicilopochtli. Oto msza skończo-  
na: *ite missa est!*... Odprawiają jeszcze jedną na  
cześć Toci, babki wszystkich bogów. Z tłumu wy-  
bierają jedną kobietę, która zostaje przez kapłanów  
ubrana w boskie stroje bogini, przyczym oddają jej  
należne hołdy, jako wcieleniu boskiej matki. Gdzie-  
kolwiek przejdzie, jest przedmiotem boskiego uwiel-  
bienia; ale wszyscy żegnają ją, gdyż idzie na ofiarę.  
Oto staje przed ołtarzem. Postawiła nogę na pier-  
wszym jego stopniu. W tejże chwili wyrasta przed  
nią smutna postać kapłana, porywa na plecy drugiego  
kapłana, przewraca i odcina jej głowę jednym uderze-  
niem noża! Jej piękne ciało zostaje natychmiast ze  
skóry odarte, skórę tę rozdzierają na dwie części.  
Skóra piersi służy za pokrycie dla piersi młodego ka-  
płana, który pod eskortą żołnierzy odchodzi do świą-  
tyni Huicilopochtli, u wrót której zatrzymuje się i czte-  
ry razy wyciąga swe skrzyżowane ręce; skóra z ud,  
zamieniona w rodzaj plastra, okrywa twarz młodego  
kapłana, który wstępuje w ślady pierwszego do świą-  
tyni Huicilopochtli; musi tam dokonać ofiary trzech  
więźniów, otwierając im piersi i wyrwijąc dla chwały  
swego boga ich żywe, krwią ociekające serce, jakeśmy  
to powyżej widzieli.

Czy możesz sobie wyobrazić, przyjacielu, przeżenie wiernych na widok tych mąk okrutnych? Takimi oto środkami dążą kapłani do swojego celu; tak oto uczy się lud świętego strachu przed bogiem, by zrozumiał, że nie wolno mu przekroczyć praw świętej religii.

Przypuszczasz może, przyjacielu, że te ohydne zbrodnie skończyły się z chwilą, gdy Meksykiem zawładnęła Hiszpanja? Mylisz się, mój drogi. Bożek z pszenicy został zastąpiony bożkiem z drzewa. W imieniu zaś innego Huicilopochtli, tego samego, który jednego dnia te wypowiedział słowa: «Jeśli zaostrzę błyszczący się miecz swój i pocznie sąd ręka moja, oddam pomstę nieprzyjaciołom moim i tym, którzy mnie nienawidzą, nagrodzę... Opoję strzały moje krwią, a miecz mój naje się mięsa ze krwi pobitych i pojmanych, skoro zacznę mścić się nad nieprzyjacioły» (Deuteronomium XXXII, 41, 42), w imieniu tego drugiego Huicilopochtli, tego, który pewnego dnia przez usta swego wielkiego kapłana rzekł do duchowieństwa: «Przypasz każdy miecz swój do biodry swojej; przychodźcie a wracajcie się od bramy do bramy w obozie, a zabijajcie każdy brata swego i przyjaciela swego, i każdy bliźniego swego» (Exodus XXXII, 27). W imię tego drugiego Huicilopochtli cywilizacja europejskich kapłanów zabiła, zniszczyła, spaliła do szczętu w ojczyźnie Azteków i Inkasów dwanaście milionów ofiar ludzkich! Wielki poeta Wiktor Hugo wspólnie opisał przebieg tego nowoczesnego kapłańskiego barbarzyństwa. Hiszpanie, w miarę jak rozszerzali zakres swych zdobyczy na Nowym Łądzie, przyjęli zwyczaj chrzczenia wszystkich gór wulkanicznych. Z czasem ochrzcili je wszystkie z wyjątkiem góry Momotombo, skąd nigdy, żaden święcenie niosący kapłan nie wrócił. Poeta używotnia straszny wulkan i każe mu wypowiedzieć swoje myśli i refleksje.

«*Les raisons de Momotombo...*» Sprzykrzyły mu się już okrucieństwa krajowych kapłanów:

Gdy przyszli dumni przez drgające fale  
Ze strony wschodzącego słońca ludzie biali,  
Przyjąłem ich z radością, sądząc, że to dobrze.  
«Ich dusze pewnie białe tak, jak twarze,  
Mówiłem sobie, człowiek biały, jak błękitne niebo;  
Ich Bóg jest chyba Bogiem bardzo dobrym;  
Nie będzie chyba cieszył się morderstwem.»  
Więc byłem kontent; zbrzydli mi kapłani dawni.  
Gdym jednak ujrzał, jak pracują nowi,  
Gdym ujrzał, Boże, stos ten gorejący,  
Ponury, smutny, nigdy nie gasnący,  
Który zowiecie Inkwizycją świętą,  
Gdym ujrzał, jak to Torkwemada czyni,  
Aby oświecić ciemnego dzikusa,  
Jak cywilizuje, i jak oficjum święte  
Szerzy i wznieca światło na tej ziemi,  
Gdym ujrzał w Limie te olbrzymie wierzby,  
Obwieszane dziećmi, nad ogniem drgającemi,  
Ogień, pożerający życie, oraz kłęby dymu,  
Wijące się około piersi kobiet płonących,  
Gdym często sam omdlewał prawie  
Od przykrej woni waszych stosów,  
Ja, którym w swej czeluści palił tylko cienie,  
Widziałem, żem zbyt prędko się ucieszył;  
Przyjrzałem bliżej się obcemu Bogu  
I rzekłem: «Tu nie warto było zmieniać.»

## XII.

Odwagi, mój przyjacielu, ucieknijmy teraz od tych okropnych rzezi, od tych stosów płonących, i pozwól mi teraz przedstawić ci w następnych kartkach najwybitniejsze cechy wspólne i podobieństwa wszyst-

kich religji świata. Wykażę ci w sposób najściślejszy prawdziwość mojego pierwszego twierdzenia, a mianowicie to, że religje są zjawiskiem chorobliwym, a jednak podlegającym zupełnie stałym prawom — i przez to samo już naturalnym i ogólnym, prawom takim, jakie są ustalone dla innych fenomenów natury, np. dla szaleństw, kategorji, w które bez kwestji, wchodzi i zjawisko religji.

Zdaje mi się, przyjacielu, że chcesz mi powiedzieć: gdyby religje były rodzajem choroby, «świętym złem», aby użyć wyrażenia starego Heraklita, który z cienia zamierzchłych wieków tysiące lat wyprzedził przecuciem, możnaby je przecież wywoływać dowolnie tak, jak np. obłąd, manję, słowem szaleństwo, przez działanie niektórych trucizn, jako to: alkoholu, ołowiu, żywego srebra, opium... Tak jednak jest, przyjacielu. Daj mi tylko okoliczności i warunki przyjazne, — a otrzymasz ode mnie stworzoną nową religję...

Umieść naprzykład jednego Succiego w społeczeństwie idjotów, to jest chciałem powiedzieć ludzi źle odżywianych, chorowitych, z umysłem przez to osłabionym i przypuść, że ten Succi, zamiast objaśnić im istotę swego długiego postu tym, że zażywa znakomitego afrykańskiego eliksiru, będzie im suggestjonował ideę boskiego cudu (oto najsilniejsza trucizna religijna). Karta zostałaby znakomicie zagrana: ten sam Succi, którego całą zasługą było, że mógł w pustyni czterdzieści dni pościć, stałby się nagle Mahometem, Marją Alacoque, Lazzerettim, J. Smithem, i w krótszym czasie, niż sądzisz: kalifem, papieżem, prorokiem, z mitrą na głowie, otoczony dworem papieskim, a gdyby chciał, i haremem; i po śmierci ujrzelibyśmy jego zabalsamowanego trupa, chowanego w specjalnie na ten cel zbudowanej świątyni... jak to widzieliśmy u egipskich krokodyłów.

Nieznane! cudowne! niedorzeczne! — oto różdżka czarodziejska, przyjacielu, za której dotknięciem wytryskuje ze skały źródło religii. Cud zrealizowany został przez wszystkie religie: znajdziesz w nich obok ofiary zawsze cudowne i niepojęte wloty do wszechmocnej władzy. Za dowód tego może np. służyć Biblia: zobaczysz, że po opisanych cudach wielkiego kapłana Aarona, święty kronikarz przyznaje, że Faraonowi te same cuda wywoływali jego magowie i egipscy kapłani. Zachodziła tu jednak pewna różnica, bo jeżeli magowie egipscy umieli zamienić swoją łaskę w węża i wywołać, jak dostojny Aaron, mirjady żab, nie udawało im się jednak kazać wyjść z ziemi pewnym robaczkom, przeznaczonym przez Boga, by żyły na ciele ludzkim i zwierzęcym. To umie tylko Aaron, i kapłani egipscy wołają w zachwyceniu: «Palec to boży jest» (Exodus VIII, 19). Oto słowa tekstu biblijnego, mój przyjacielu, które ci dają pojęcie o tym, co myśleli święci szarlatani o boskości (Exodus VIII).

Jeżeli z Egiptu i Palestyny przeniesiemy się do Chaldei, będziemy mieli do czynienia z faktem identycznym: Żołnierze Marka Aureljusza splądrowali raz jedną seleucką świątynię i znaleźli w niej drzwi tajemne, bardzo zręcznie ukryte przez kapłanów chaldejskich. Starali się je wyłamać, ale za pierwszym uderzeniem zionęło z nich śmiercionośną wonią (z kwasu węglanego lub innego trującego gazu), którym wypełnione było zamknięte pomieszczenie. Wielu żołnierzy padło trupem. «Palec boży to jest, palec boży»... wołają chytry kapłani, kara za sprofanowanie świątyni, za świętokradztwo «bogów fałszywych i kłamliwych», jak ich Dante nazwał w parę wieków później!

### XIII.

Cud, mój przyjacielu, przybierze jeszcze inną, bardziej łatwą, lecz nie mniej skuteczną formę w historii

religji, np. cudownych uzdrowień. Niema nawet nic bardziej przyjaznego dla kapłanów, i prawdopodobnie dlatego to u wszystkich narodów i po wszystkie czasy medycyna stanowiła część wiedzy lub lepiej empiryzmu kapłańskiego. Uzdrowić chorego, który się uważa za straconego, to znaczy: rozporządzać naturą. Jeżeli wyzdrowienie następuje drogą naturalną, przez silny organizm: żegnaj cudzie, żegnajcie czary; nieznanne i cudowne znika, kramik ze świętościami musi zostać zamknięty: gdy wiedza się zjawia, kapłan znika, jak ciemności, które ustępują słońcu. Terapeutyka święta ma swój własny system: nie leczą tutaj środki naturalne, lecz nadzwyczajna łaska niebios: Człowiek jakiś padł, jak rażony śmiercią po spożyciu szkodliwych grzybów; oczy ma otwarte, ale nic nie widzi, nie słyszy, wykonywa jakieś konwulsyjne ruchy, jakoby wysiłki człowieka walczącego z niewidzialnym jakimś wrogiem: jedna z najbardziej przyjaznych sposobności dla kapłana.

«Opętany został przez złego ducha, woła zdumiony tłum, trzeba wezwać kapłana, on djabła wypędzi, może wyjść przez usta chorego.»

I kapłan egzorcysta, potężny i wielki Intongo yakwouckoulou (ponieważ jesteśmy obecnie z Girard de Riallem wśród Kafrów i Zulusów), zbliża się, cały w skórę węzów strojny, spojrzął na chorego i zrozumiał. Pióropuszem pryska świeżą wodę na twarz cierpiącego, który za jej dotknięciem drga konwulsyjnie. «Widzicie, widzicie, oto zły duch nie może się oprzeć wodzie święconej.» Kropi go jeszcze raz, drugi, trzeci, czwarty, wreszcie chory wraca do przytomności przemawia, wstaje, chodzi, jest uzdrowiony. Cud się stał.

Teraz rozpoczyna się drugi akt komedji. Kapłan wszechmocny Intongo, poczyną się nagle miotać, wić, rzucać i uspokaja się dopiero wtedy, gdy zmusił duchy do wskazania mu wołu, którego w nagrodę za

wyleczenie jednego z nich plemię ma mu ofiarować. Że wół wybrany przez kapłana nie jest zbyt chudy, o tym możesz być przekonany, przyjacielu. Chociaż to, com opowiedział, działo się w kraju Zulusów, egzorcyzm jest przemysłem kapłańskim zawsze i wszędzie. Znajdziesz go w Kongo i w Ameryce (głównie u czerwonoskórych), praktykowany był w Jerozolimie, co wyznaje kronikarz Józef; podług Orygenesusa, istniał u kapłanów egipskich, u magów perskich i u indyjskich braminów... Otwórz Rytuał rzymski i zobaczysz, że egzorcyzm jest jednym z najsilniejszych prerogatywów św. kościoła. To cię dziwi, mój przyjacielu, lecz tak jest. W Rytuale rzymskim znajdziesz Bullę papieską, która naucza: «wszystkich czcigodnych braci, patryjarchów, arcybiskupów, opatów i plebanów świata katolickiego sposobu wypędzania demona z duszy ludzkiej».

Wielki Intongo rzymski, Paweł V, rozpoczął swoją działalność od twierdzenia, że nieoceniona bulla jest dziełem uczoności, pobożności i mądrości przewielebnych kardynałów, popartym przez rady i pomoc ludzi prawdziwej wiedzy. Następnie wyłuszczył swoje żądanie: wyłączne prawo na wypędzanie czarta należy do kapłanów i wiernym nie wolno się w tym celu udawać do czarowników, którzy do tej świętej czynności mogliby używać środków zakazanych. Następnie bulla zdradza wszystkie szatańskie sztuczki tych djabłów, które chcą się oprzeć świętemu wpływowi egzorcyzmów. Czytając to, należy przypuścić, przyjacielu, że ci przewielebni kardynałowie musieli być w wielkiej zażyłości z djabłami, aby ich tak dobrze znać *intus et in cute*. Egzorcyzmujący kapłan musi umieć zapobiec temu, aby szatani, z którymi się z konieczności wdaje w rozmowę, nie rozgadali się zbyt wiele: musi im nakazać milczenie, żądać odpowiedzi krótkich i kategoriycznych, pytać ich o ich nazwiska, ilość, a szczególnie baczną uwagę zwrócić na

to, które słowa djabłów przerażają i wprawiają w drżenie i powtarzać je dwa, trzy, cztery i więcej razy, aby zniewolić nieczyste duchy do ustąpienia i dobrowolnego wyznania, jakimi środkami najłatwiej je z ciała ludzkiego wypędzić (naturalnie, tylko przez usta).

#### XIV.

Przekonałeś się, mój przyjacielu, że jedne i te same przyczyny wywołują zawsze i wszędzie te same następstwa. Daj mi naród ciemny, nieuświadomiony, lub lepiej jeszcze zdegenerowany i osłabiony, źle żywiony i kaleki, krótko mówiąc: nawpół zdziczały. Niechaj żyje on w środku Europy lub na dalekich krańcach Afryki, znajdziesz u niego pod względem religijnym te same barbarzyństwa i szaleństwa. W tym leży rzeczywista przyczyna kosmopolityzmu kapłańskiego, mój przyjacielu. Filozofowie często się żalą na powolny rozwój postępu i słaby wpływ ich wielkich idei. Dzieje się to dlatego, że idee nie posiadają własności przenoszenia się z jednego osobnika na drugi, jak bacyłe jakiejś choroby, przez dziedziczność lub skłonności. W umyśle naszym przyoblekają się one w szaty osobistej niepodległości, co dodaje im wyłączości i uszczupla ich możność szerzenia się. Kosmopolityzm ideowy nie stanie się może nigdy prawdą doświadczalną, kosmopolityzm kapłański natomiast jest już faktem dokonany, istniejącym, jak istnieje kosmopolityzm bakcyliów cholery i tuberkulozy.

Widzisz więc, że fakt ten odpowiada w zupełności prawom patologicznym i w imię tego prawa, powtarzam ci, wszystkie religie przeszłe i przyszłe zrodziły i rodzić będą te same instytucje, te same dogmaty, obrządki, zwyczaje i szaleństwa. Najznamienniejszym i najczęstszym objawem tego szaleń-

stwa jest pretensja każdej religji do wyłącznego prawa słuszości, do zniszczenia wszystkich innych, jak to już zaznaczyliśmy na samym wstępie. Nietolerancja jest rzeczywiście najistotniejszym prerogatywem wszystkich religji. W imieniu jednego Zarathustry czarownicy chaldejscy wyklinali sekciarzy perskich drugiego Zarathustry. W imieniu boga Phta Egipcjanie prześladowali Hebrajczyków, w imieniu Jehowy prześladowali ci ostatni wszystkich, którzy nie czcili ich bóstwa: «Jeżeliby cię też zwiedził brat twój, syn «matki twojej, albo syn twój, albo córka twoja, albo «żona łona twego, albo przyjaciel twój, którybyć «był miły, jako dusza twoja, potajemnie mówiąc: «Pójdźmy, a służmy bogom obcym, którycheś nie znał «ty, ani ojcowie twoi... nie pozwolisz mu, ani go usłuchasz... ani go utaisz... ale koniecznie zabijesz go, «ręka twoja najpierwsza nad nim będzie na zabicie «jego... i ukamienujesz go na śmierć...» (Deuteronomium XIII, 9 10).

Ta nauka została również przyjęta przez Muzułmanów, którzy nienawidzą chrześcijan, również dobrze przez chrześcijan, którzy nienawidzą żydów. Z tej to przyczyny chrześcijanie rzymscy odpychają chrześcijan greckich, katolicy odpychają protestantów, protestanci wyklinają socynjan, papiści brzydzą się starokatolikami, Aleksander V każe spalić Jana Husa, Kalwin pali Michała Serveta, Leon X wyklina Lutra, Luter każe spalić księgi Leona na rynku wittenberskim. Kłątwy kościelne, ekskomunikacje, interdykty, krucjaty, inkwizycje, stosy, tortury, papieże, antypapieże, prorocy, fałszywi prorocy, chryst, antychryst... Oto, mój przyjacielu, budujące widowiska, które nam dają religje...

Jeżeli kiedykolwiek opuścisz swoją ojczyznę, by na obcych progach chleba szukać, ostrzegam cię, byś nigdy nie mówił o religji z tymi, których spotkasz. Postępuj według głosu twego sumienia, kieruj się

w swych czynach własnym rozumem i doświadczeniem i bądź pewny, że wszędzie: tak w Rzymie, jak w Konstantynopolu, w Moskwie, jak w Mekce, gościnnie przyjęty zostaniesz. Lecz, jeśli zaczniesz w świątyni Mekki o swej wierze mówić, obrazisz kapłana tamtejszego, a w Rzymie rzymskiego — i uciekać musisz, nieszczęśliwce, *tolle grabatum tuum et ambula*, gdyż nienawiść kapłańska prześladować cię będzie.

Odkryła ci się wielka prawda, że rozum łączy wszystkich ludzi jak braci, religja zaś rozdziela ich i waśni. W imię rozumu staje się człowiek człowiekiem świętym: *homo sacra res homini*, gdy tymczasem w imię religji — wilkiem się staje człowiek człowiekowi: *homo homini lupus*; w imię rozumu jesteście wszyscy obywatelami świata, w imię religji zaś twoje miasto, kraj, ojczyzna nie sięga dalej, jak cień, rzucony przez dzwonnice twego kościoła...

## XV.

Czy znasz, przyjacielu, rzeczywistą przyczynę nietolerancji religijnej? Jest nią okrutna zawiść kapłanów. Kapłan kocha swą świątynię, którą często oblubienicą swą nazywa, ale kocha ją jak Otello Desdemonę, zawsze gotów do uduszenia jej w swych żądnych ramionach, nim zdąży drugiemu ofiarować... choć jeden uśmieszek. Ale miłość Otella przyobleczona jest w szaty idealności: Otello kocha piękność, wdzięk — kocha cnotę; miłość kapłana jest czysto zwierzęcą, miłością solitera, pożerającego wnętrzości swej ofiary. On nie kocha, nie uwielbia, nie czci w swojej oblubienicy nic, prócz świętego żłoba, który mu starannie paszą napełnia. Dlatego wszystkie wal-

ki religijne mają dla kapłana jedno tylko prawo: darwinowskie «struggle for life.»<sup>1)</sup>

W imię tego prawa obwarowuje się kapłan przed ludem w tyle tytułów, ile tylko może sobie przywłaszczyć i zagarnąć. Stoi zawsze i wszędzie ponad społeczeństwem; otoczony najrozmaitszemi przywilejami i, aby je uczynić nietykalnemi, przypisuje im boskie pochodzenie. Spójrz na kapłana w Indjach: zrodził się z głowy boga Brâhmy, głównego członka trójcy weddyjskiej, należy do specjalnej kasty i otrzymuje tytuł bramina. Valmiki opowiada w «Râmâjanie», czym jest jego moc: «ten, który nie może być zabity ani przez boga Indrę, ani przez Boga Wisznu, zostanie przez ogień pochłonięty, gdy bramin rzuci nań przekleństwo.» Później trochę, inny Valmiki tak tę samą myśl wyraża: «cokolwiekbyście związali na ziemi, będzie związane i na niebie; a co byście rozwiązali na ziemi, będzie rozwiązane i na niebie» (św. Mateusz XVIII, 18). Tyle o władzy duchownej kapłanów; jako ilustrację ich władzy doczesnej przytoczę słów kilka z ksiąg Weddy: «ten, kto zabierze ziemię ofiarowaną bogom lub kapłanom ich, wpędza przodków swych do piekła, nawet jeżeli już osiągnęli niebo...»

To są słowa świętych ksiąg indyjskich, ale jeżeli nie masz czasu, przyjacielu, poświęcić się badaniom pism sanskryckich, otwórz inną, daleko świeższą księgę: Syllabus wielkiego bramina rzymskiego. i przy XVIII rozdziale znajdziesz analogiczną maksymę: «klątwa temu, kto powie: kościół niema prawa nabywania i posiadania. przedstawiciele świętego kościoła i papież rzymski muszą być bezwzględnie wyłączeni ze wszystkich istniejących praw, co do sprawowania urzędu i własności rzeczy świeckich.» I to, co ci powiedziałem o kapłanie z Benaresu i Rzymu, można

---

<sup>1)</sup> Walka o byt.

także powiedzieć o kapłanie z Jerozolimy. Lewici, kapłani, należeli do specjalnej kasty i żyli z dziesięcin, opłacanych krwawym potem ludu, żyli z pierwocin, najpierwszych płodów ziemi i z zysków swego kultu (Numeri XVIII, Deuteronomium XVIII). Kapłani starożytnego Egiptu należeli również do specjalnej kasty i Faraoni utworzyli dla nich oddzielne renty (Genesis XLVII, 22), aby zaś lepiej pilnować swojego żłobu, utrzymywali oni, że dostali w daninie od bogini Izidy trzecią część Egiptu (Klemens Aleksandryjski). Druidzi, którzy posiadali w Galji olbrzymie włości, uprawiane przez niewolników, przywłaszczyli sobie podobne przywileje, o których opowiada Strabon, geograf grecki: «Są świątynie druidzkie, które na swoje usługi mają do sześciu tysięcy niewolników» (Strab. IV, XII). Smutna analogja wydarzeń: w XVII wieków później, w 1771 roku zdradził Voltaire światu drugą identyczną zbrodnię: w tymże samym kraju starożytnych druidów, w okręgu St.-Claude, kapłani, w imię innego boga, ale bądźco bądź w imię jakiegoś boga, uważali za swoją wyłączną własność więcej niż sześć tysięcy poddańczych chłopów, którym odmawiali nawet nadania imion: «Dla tych kanalji, rzekł jeden z ich oskarżycieli, markiz de Langeron, nawet za wiele nadać im imiona któregoś świętego, jak np. Piotra, Pawła; Jana... (patrz Buisson, «Histoire de la Revolution» w Grand Dict. Péd. str. 1860)

«Dla tych kanalji!» Czyś zrozumiał, przyjacielu? Takim to było wyobrażenie kapłanów o swoim ludzie przed rewolucją francuską. Nie przypuszczaj jednak bynajmniej, że teraz sąd swój zmienili, wszystkie ich czyny i słowa wskazują bowiem, że jeżeli już nie uważają, lub lepiej, nie mogą już uważać, ludu za tłum niewolniczy (*taillable et corvéable à merci*), postępują z nim zawsze, jak z potulną trzodą baranów i całe swoje usiłowanie skierowują na to, by nie

opuściła ona swego pasterza i aby jaknajmniej niewiernych usunęło się od tego płodnego stada.

Wogóle kapłan wszystkich krajów, choć stracił wiele ze swoich przywilejów, nie ustąpił od żadnego z nich dobrowolnie, a zawsze tylko zmuszony przez siłę prawa i rozumu, która w końcu musi być zwycięską. Do dziś dnia jednak pozostał kapłan, mocą swych wszystkich zagrabień, wcieleniem przywileju!

Nie chcę, przyjacielu, wymieniać tutaj wszystkich swobód, z jakich przez szereg wieków kapłan u wszystkich narodów korzystał: wystarczy mi przypomnieć ci, że dziś jeszcze jest on wolny od służby wojskowej we wszystkich prawie państwach Europy; wystarczy mi nadmienić o prawie gwarancji swobód papieskich, podpisanym przez nowożytne Włochy — wszystko to wystarczy, aby z całą stanowczością móc twierdzić, że pomimo rzekomej cywilizacji, którą się tak chełpimy, «święta zaraza» szerzy się dalej w naszych żyłach i zatrzuwa organizmy większości naszych współczesnych. Powtarzam, że nie wyprzedziłszy ani Indów Valmikięgo, ani Faraonów starożytnego Egiptu, którzy kapłanom swoim dali poręczanie «części jednej» (Genesis XLVIII, 22), ani Druidów, o których Juljusz Cezar mówi, że byli wolni od powinności wojskowej i mieli masę przywilejów: »*Militiae vocationis omniumque reium habent immunitatem.*» (Caes. de Bell. Gall.) A jednak sądzę, mój przyjacielu, że dobry karabin Vetterlego albo Martinięgo należałby się przedewszystkim tym śpiewakom «Te Deum», którzy zjawiwszy się pewnego dnia na ziemi w imieniu jakiegoś Sziwy, Sanghy, Sabaotha, Apollona, Odina lub Tentatesa, krzyża lub ukrzyżowanego, Ducha świętego, pochodzącego tylko od Ojca, albo pochodzącego *ab utroque*, t. j. Ojca i Syna, nie pozostawili od tej chwili ani jednej spokojnej godziny biednej ludzkości...

Zresztą, mój przyjacielu, kapłan jest przyzwyczajony do przywilejów, a przedewszystkiem zrozumiał, że przyzwyczajenie zakorzenione z historją w mózgu ludzkim wyźłobiło tam już głęboką brózdę i wypisało ślepe poszanowanie dla niego; dlatego też nie rumieni się nawet, gdy mu mówisz o równości i nie woła do niebios o pomszczenie tej niesprawiedliwości. A lud słaby, pokorny, nie może zwalczyć tych chorobliwych odziedziczonych przyzwyczajajęń myśli — i stoi pełen wahania, jeżeli już natychmiast nie daje posłuchu żądaniom kapłanów. Przygnieciony został zupełnie straszną obawą wyrzutów sumienia. O nieszczęsne, «święte zło».

## XVI.

Znużony jesteś, przyjacielu, ja nim jestem więcej od ciebie. Zaraz pośpieszymy naprzód; przedtym jednak rzućmy okiem na analogje, które nam nasuwają religje. Gdyż nic nie może być świętszego jak sprofanowanie tajemniczości, obniżenie cudowności ich świątyń, zwalczenie ich kłamliwych dogmatów, pogarda dla ich obrządków. Pod stopy swe rzucić i zdeptać trzeba ich mitry i rozbić ich bożków glinianych. Naprzód więc, przyjacielu, odwagi!

Mówiliśmy o przywilejach. Czyż istnieje większy od tego, który poświęca, to znaczy ustanawia i zrzuca królów tego świata? Przywilej ten wszedł w czyn za papieża Stefana II i praktykowany był do Piusa VII; teraz jeszcze kwitnie w całej pełni w Whida w Afryce; w Fernando Po uprawiany jest przez wielebnego duchownego Batikamaona, który, mówi Girard de Rialle w swej »Mitologii porównawczej«, schodzi do głębokiej groty, by znaleźć tchnienie boskości i gdy wraca stamtąd, objaśnia młodemu kró-

lowi wolę boga Maona, i posypawszy nowego władcę proszkiem żółtym, zwanym Tacheoko, kładzie na głowę jego koronę jego poprzednika (op. cit. 184). To nie wszystko, mój przyjacielu: ten Hildebrand, który widział cesarza niemieckiego, tarzającego się w kurzu Kanosy, Grzegorz VII, miał swoich poprzedników i dzisiaj ma następców między dzikimi Konga.

W Meroe, pisze Diodor, papież-król, czyli wielki kapłan Ammona roztaczał absolutną władzę. Gdy chciał, mógł królowi śmierć nakazać, wystarczało z ust jego tylko parę słów: «taka jest wola boga» (Diodor III, 5 i następne). Chitome, czyli wielki kapłan Konga, pisze Girard de Rialle w wymienionej powyżej pracy, przewyższa w swej potędze wszystkich tyranów Afryki. Królowie muszą mieć jego pozwolenie przy rozdawaniu urzędów i pierwszym obowiązkiem wybranego naczelnika jest udać się, z wielkimi uroczystościami, do namiotu Chitomea. Idzie otoczony liczną świtą, poprzedzany przez kobiety, błaga kapłana o pozwolenie złożenia mu hołdu. Szczytnej łaski tej nie dostępuje odrazu. Musi się upokorzyć, i płacząc, tarzając się w kurzu i piasku przed zamkniętymi drzwiami namiotu. Wreszcie Chitome wychodzi i kropi wodą, posypuje pyłem nowego panującego, który przed nim na ziemi leży; następnie kopie go kilkakrotnie nogami, aby mu dać do zrozumienia, że właśnie on to jest najwyższym panem.

Oto, mój przyjacielu, rzeczywisty i powszechny ideał kapłański: podły niewolnik, korzący się w pyle i służący za podnózek jego pysznym stopom: *scabel-lum pedum suorum*: zachowaj na zawsze ten smutny obraz.

A teraz nowe analogie. To samo prawo poświęcania i namaszczenia zachował kapłan w stosunku do reszty niższego duchowieństwa. Tak było u Hebrajczyków (Exodus XXX, 23), tak jest obecnie w Rzymie — i to samo dzieje się także w... Polinezji: »po-

święceni są oliwą kokosów, które są przez tych dzikich uważane za zbiornik świętych właściwości ich boga Orō.» Ciż kapłani mają także powinność chrzczenia noworodków, co nazywają «detabuować», gdyż wszystkie dzieci uważają za «Tabu», t. zn. należące do bogów, których są, zdaniem kapłanów, ekskrementami! Brzydkie to słowo, przyjacielu, wierzaj jednak, że tak jest. Udało się nawet religjom uszlachetnić je i do wielkiej godności podnieść; w Tybecie bowiem największą godnością, jaką otrzymać można, jest przyjęcie komunji z ekskrementów Dalay-Lamy, najwyższego kapłana tamtejszego, które zostają podzielone na drobne cząsteczki i podane ludowi w formie pigułek. A zatym do boga—kamienia, boga—rośliny, boga—zwierzęcia przybywa bóg—ekskrement! Do jakiegoż ohydneho szału doprowadza «święte zło» nieszczęśliwych śmiertelników.

Wobec tego, że mówiłem o chrzcie i komunji, dlaczegóż nie miałbym powiedzieć kilku słów o spowiedzi? Na szczególną uwagę zasługuje sakrament pokuty, który po upiorze ofiary, po idei cudowności, jest stanowczo środkiem najbardziej skutecznym, którym się posługuje ten święty syfilis, dla propagandy i rozszerzenia swego śmiercionośnego działania na dusze ludzkie.

Jeden z ojców kościoła, Tertuljan, w 40-ym rozdziale swej księgi »De praescriptione« przyznaje, że pogańscy kapłani Mithry dawali odpuszczenie grzechów za spowiedź, chrzcili i podawali św. oleje w imię swego boga. Jeśli zaś przejdziemy z Persji do Indji, znajdziemy tam w piątej księdze świętych praw Mammona ustanowienie, że ten, kto pości dwanaście dni i odprawia pokutę zwaną Paraka, odkupuje tym wszystkie swoje grzechy, ten kto pości przez miesiąc i sześćnaście razy zatrzymuje swój oddech, powtarzając po całych dniach święte imiona Auma i Savatri, zostaje nawet oczyszczony z grzechu zabicia bramina, ten zaś

kto chce zmasać swe grzechy tajemnicze, małe lub większe, musi raz dziennie przez cały rok powtarzać modlitwę, zaczynając się od »Ara» albo »Jatkinczida».

Przenieśmy się teraz w naszej wędrowce do Grecji i posłuchajmy Platona: »Szarlatani i wróżbici (nazywa ich Platon właściwemi ich imionami) chodzą do domów bogatych ludzi i zapewniają ich, że za sprawą swych ofiar i czarów otrzymali od bogów możność leczenia wszystkich niesprawiedliwości i złych czynów, przez tychże bogaczy lub ich przodków dokonanych. Opierali się oni na całych stosach ksiąg, które jakoby od Orfeusza otrzymali i zmuszali do wiary nie tylko jednostki, ale wszystkich obywateli kraju. Dowodzili, że istnieją środki zgładzenia grzechów i oczyszczenia się za pomocą ofiary, przyjemnych obrządków i rozrywek, potrzebnych tak żywym »jak i Umarłym«, które nazwali inicjacją (poświęceniem) i które mają własność zbawiania od cierpień przyszłego życia. Ci zaś, którzy tych obrządków nie odprawiają, muszą się spodziewać w przyszłym życiu strasznych mąk» (Plat. Rep. str. 364).

Czy nie zdaje ci się, przyjacielu, że słyszysz kazanie swego proboszcza? Tylko, że współczesne duchowieństwo przewyższyło wszystkich wróżbitów greckich, wszystkich braminów Indji, wszystkich kapłanów Mithry.

Niema zbrodni, dla której nie znaleźliby usprawiedliwienia wobec Boga: kłamstwo, oszczerstwo, krzywoprzysięstwo, kradzież, cudzołóstwo, morderstwo — wszystko to znalazło wytłumaczenie, wszystko może dziś być zmyte i przebaczone w imię tego bezsensownego kodeksu, który jezuita ochrzcił mianem *kazuistyki*. Na kwestję tę dałem ci już rzut oka w innej książce, — jeżelibyś jednak chciał kiedykolwiek zblizka zobaczyć, do jakiego stopnia »święte zło« może znieprawić sumienie ludzkie, przeczytaj »Lettres provinciales« Pascala i zobaczysz, że obyczaje nie są

nigdy na większe niebezpieczeństwo narażone, jak wtedy, gdy opiera je się na prawach, wypływających rzekomo z Boga, z wykonawcami w osobach kapłanów. Niechaj prawo to pochodzi z Benaresu lub Konstantynopola, z Rzymu lub Jerozolimy, będzie ono zawsze i przede wszystkim wiecznym wyrazem woli i interesów oligarchicznych swoich przedstawicieli: i oto dlaczego jest ono zawsze nieprawe, niepewne i elastyczne, sprzeczne: słowem, takim, jakim je opisał Molière w jednym znanym zdaniu Tartufe'a:

»Niebo rzeczywiście odmawia pewnych przyjemności,  
»Ale żyć z nim zawsze daje się w zgodności.«<sup>1)</sup>

## XVII.

Czas już zatrzymać się i dojść do pewnych wniosków. Jeden, który rzeczywiście natychmiastowo z tego wszystkiego, cośmy tutaj powiedzieli, wypływa, jest, że kapłan w każdym kraju i religji jest najokrutniejszym biczem, który zawisł nad biedną ludzkością i jako wróg naturalny rozumu, jest on zarazem wrogiem porządku, prawa, pokoju, dobrobytu, któreby tylko na rozumie mogły znaleźć pewne i trwałe podstawy.

Patrzej, co następuje, gdy kapłan się zjawia: Najpierw w dziedzinie teorii zakreśla on granice myśli. Skrępowana na tym łożu Prokrusta z dogmatów, pożera się ona sama i dla wiedzy staje się już dostęp niemożliwy. W dziedzinie praktyki niemożliwie krępuje wrodzone poczucie sumienia, tworząc dla każdej jednostki drugie sumienie własnej fabrykacji, będące tylko wiecznym echem sofizmatów i urojeń, któremi mózg jej naszpikowano, czyli sumie-

---

<sup>1)</sup> »Tartufe«, akt IV, sc. 5.

niem, błędnie pojętym, zdolnym do uznania za święty i chwały godzien nawet taki czyn, który rozum i wrodzone sumienie uznały za niemoralny i szkodliwy. Żadna prawda nie jest bardziej prawdziwą od tej, którą odkrył wielki Pestalozzi: obyczaje mają swe główne źródła w ideach: idee błędne — obyczaje błędne; idee słuszne — obyczaje słuszne i prawe. Obyczajność jest wiecznie w stanie doskonalenia się, jest zawsze najszlachetniejszym owocem doświadczonego rozumu, który się przyjmuje i spokojnie wzrastać daje swym korzeniom na soczystej glebie rzeczywistości. Jeżeli więc weźmiesz umysł, który przez swój ustrój wrodzony, kalectwo lub błędne wychowanie zdolny jest do przypuszczenia, że istnieje związek logiczny i naturalny między czynem czysto fizycznym i zewnętrznym, jak odmawianie modlitwy na klęczkach, zadawanie swemu ciału cierpień i utrapień, a czynem wewnętrznym i czysto duchowym, jak ulga z powodu oczyszczenia sumienia z grzechów — jeśli weźmiesz taki umysł, to zobaczysz pod tą powłoką zewnętrzną pobożności i świątobliwości jednego z najbardziej szkodliwych członków społeczeństwa, jakiegoś kretyna moralnego o sile Ignacego Loyoli, Torquemady, Baltazara Gerada i Ravailaca. Jeżeli więc dobrze pojął myśl moją, przyjacielu, to zrozumiesz, że główną zasługą prawdziwych świętych nie jest dokonywanie szlachetnych i cnotliwych czynów w imię religji — zasługą ich jest to, że umieli dokonać tych czynów pomimo smutnego i swą chorobliwością szkodliwego wpływu tychże religji. Ten, który wie, że może zmyć swe grzechy (naturalnie przed religijnym sumieniem tylko) przez posty, zewnętrzną pobożność, która go już zwalnia od hamowania namiętności, które dany grzech spowodowały, i pomimo tej świadomości panuje nad namiętnościami z własnego popędu, panuje energicznie, uważając je za niegodne siebie, staje się tym samym istotą lepszą — i mój

przyjacielu, jest właśnie prawdziwym świętym, któremu rozum twój może bez obawy spodlenia oddać hołd przynależny.

Pytasz, czy nie było jeszcze nikogo na świecie, ktoby wygłosił tę wielką naukę?

Kilku ich było na szczęście dla ludzkości, ale wystarczy, gdy ci przypomnę jednego tylko, jednego człowieka z Galilei... Nie znasz go, wiem o tym, biedny przyjacielu. Nikt ci nigdy nie mówił o tym prawdziwie świętym człowieku, który życie swe spędził na walczeniu z kapłanami, nazywając ich »wężami, rodzajem jaszczurczym«, z kapłanami, którzy szukając Boga gdzieś za ludzką świadomością, doszli do fabrykowania i zalecania ludowi recept zupełnie naturze naszej przeciwnych. Człowieka tego za to, że nauczał religii »ducha i prawdy« — religii inteligencji, jeżeli nazwiemy ją imieniem, jakie jej nadał później inny święty, Giordano Bruno, skazał za to właśnie kapłan Kajfasz na śmierć.

Krzyż, krzyż — wołasz. Nie mój przyjacielu, krzyż to nie była śmierć — to była nieśmiertelność. Śmiercią człowieka z Galilei było oszczerstwo, które ten straszny grzech sprawiło, że nabożnikiem stał się jeden z najbardziej pięknych i czystych duchów ludzkości, które kiedykolwiek na świat przyszły, by przeciwko tej właśnie nabożności protestować. Hańba Golgoty, przyjacielu mój, została dokonana nie w Jerozolimie, ale w Rzymie — tego dnia, gdy Aleksander Borgia został ogłoszony następcą i namiestnikiem największego wroga Faryzeuszów...

## XVIII.

Przedstawiłem ci zło, spowodowane przez kapłanów na świecie. Jakim, przyjacielu, lub lepiej powiedziawszy, jakimi mogą być lekarstwa na to zło? Żałuję,

że nie mogę ci w zupełności na to pytanie odpowiedzieć, przypuszczeń moich nie będę jednak ukrywał. Jeżeli moja djagnoza »świętego zła«, wywołanego przez nędzę ludzką, nie jest mylna — to pierwsze lekarstwo polega na tym, aby powstrzymać siłę zarazy tego zła. Bez wahania przyznaję już, że cel ten nie zostanie wprzód osiągnięty, nim w imię sprawiedliwości, którą naturalnie musi być pierwszym obowiązkiem każdego człowieka względem samego siebie, nie znajdą się ludzie, którzy po głębokim zbadaniu siebie samych, postanowią nie należeć do żadnej z istniejących już religii i otwarcie oświadczą, że od niej odstępują i zaprzestaną odbywania, choćby pozornie nawet, jej wszystkich praktyk i obrządków, które właśnie są tych religii przeważną częścią.

Niepotrzebnie skarżą się na kapłanów ci, którzy nie mają odwagi wyzbyć się hypokryzji religijnej — dlatego, że na polu praktyki słowa nie mają nigdy tej wartości, co czyni. Jak możesz żądać, przyjacielu, by lud uwierzył w zgubność klerykalizmu, jeżeli ci, którzy mają o tej zgubności głębokie przekonanie, powierzają najlepszą część samych siebie, t. j. swe dzieci, wychowaniu duchownych? Ludzie ci powinni, pomimo swej chełpliwości, zrozumieć, że pierwszymi kapłanami, których zwyciężyć muszą, są oni sami, gdyż tak jak kapłani, w nikczemnych osobistych widowiskach spekulują oni na łatwowierności, t. j. ułomności ludu, by go oszukać. Dlatego też nie wolno, przyjacielu, oszańcować się za wysokie wały doskonałej obojętności. Zresztą czyż człowiek może pozostać obojętny w świętej walce światła z ciemnościami, dobrego ze złem? Dante nazwał tych ludzi »podłymi«, ale ja cię zapewniam, przyjacielu, że ich obojętność jest więcej niż podłością, jest grzechem. Powinni się zdeklarować: albo uważają religję, w której zostali wychowani, za dobrą, albo za złą. W pierwszym wypadku winni są temu, że nie umieli ukochać i czcić

tego, co za godne swej czci uważają, w drugim ich objętność staje się milczącą, ale niemniej przestępną tolerancją zła; innymi słowy: niecznym współnictwem. Prawości, prawości! — a przedewszystkim odwagi, jeżeli chcemy, by »święte zło« przestało naokół nas szerzyć spustoszenie...

## XIX.

To nie wystarcza. Jest jedna istota na ziemi, którą trzeba uchronić od łatwego wpływu zła: kobietę!.. Czy nie zauważyłeś, że jest ona prawie wyłącznie orężem, którym się kapłani, z dobrymi rezultatami, w swej walce przeciwko rozumowi posługują? Djabelskim jest genjusz kapłana! Z chwilą, gdy zrozumiał, że wiedza go odeszła, że szatan zatrjumfował w sercach większości myślicieli, powiedział sobie: »Odwagi! mam jeszcze jedną deskę ratunku, jedną niezwalczalną słabość, jednego niewolnika na swoje usługi: kobietę!«

Smutny genjusz zła, swoim djabelskim instynktem rozumiałeś dobrze, że dzień, w którym zabraknie ci twego piedestału z djamentów: kobiety, będzie dniem twoim ostatnim, i że nic wtedy nie pozostanie z ciebie na świecie, prócz bolesnego wspomnienia, które przejdzie do potomności wraz z niegasnącą pamięcią o środkach, któremi się przez długie wieki posługiwałeś, aby uczynić z ludzkości najniešťczęśliwszy gatunek istot żyjących — rozzierając i krwawiąc jej nieśmiertelne serce, jak mitologiczny sęp, szarpiący Prometeusza.

Co robić należy, by pomścić kobietę i wyrwać ją z ostrych szponów sępa? Co do dziś robiliśmy? Nic lub prawie że nic. Zarzucamy starożytnym, że przez wprowadzenie gyneceum<sup>1)</sup> utworzyli rodzaj

---

<sup>1)</sup> Osobne pomieszczenia mieszkalne dla kobiet.

przepaści między kobietą a mężczyzną. Starożytny mężczyzna jednak umiał pomimo tego żyć we wspólności duchowej z kobietą, jak tego dowody mamy na Aspazji i Djozymie lub we wspaniałych słowach Penelopy, która woli być rozszarpana i pożarta przez harpję niż »zabawiać umysł człowieka niższego od jej znakomitego męża« (Odys. XX, 82).

O mój dobry przyjacielu, cóżemy zrobili? Postąpiliśmy gorzej od naszych przodków: stworzyliśmy gynecceum duchowe między kobietą a mężczyzną. Zauważ tylko, będąc w jakimś eleganckim towarzystwie, następujący fakt: Rozmowa wchodzi na poważniejsze naukowe lub filozoficzne tory: mężczyźni wtedy, zmuszeni dobrym wychowaniem i galanterją, usuwają się na bok i wyłącznie między sobą dysputują, pozostawiając kobietom rozmowę o modach, romansach, teatrze, uroczystościach, nawet o polityce, wtedy mianowicie, gdy staje się ona »babską«, t. zn. o ile wywołał ją nie jakiś ideał lub poważna przyczyna, jako to: zwycięstwo jakiejś zasady lub zastosowanie nowego prawa, lecz przedmiot osobisty: stanowisko, ranga, nagrody, nadzieje, troski lub zemsta ich brata, ojca, kochanka i męża... Z kobietą nie mówi się wogóle o rozwoju nauki, wiedzy, życia — o tematach intelektualnych. Mężczyzna nowoczesny jest zazdrosny o swoje wyłączne stanowisko, jak faryzeusz o Ewangelję: zagarnął sobie klucz świątyni wiedzy — i nikogo tam nie wpuszcza.

W mojej działalności nauczycielskiej miałem sposobność nieraz zauważyć, że w imię jakichś przesądów, równie smutnych, jak te, które niegdyś uznawały tylko prawo siły, odmawia się kobietom poznania niektórych prawd życiowych, jakgdyby mężczyzna posiadał monopol pewnych idei — i sam tylko umiał korzystać z przywilejów, jakie nadaje człowiekowi kultura silna, swobodna, rzeczywiście nowożytna.

Mężczyźnie dało się zupełną swobodę odrzucenia dogmatów, które rozum jego kaleczą, swobodę opuszczenia przyzwyczajzeń, których jego energja nie znosi — kobiecie przeciwnie nie wspomina się nawet o wiedzy i świetle, pozwala się natomiast, by przychodzili do niej ci, co w duszę jej sączą błędną miłość do absurdu i ślełą wiarę w cud.

To, co dla mężczyzny jest jarzmem nie do zniesienia, uważa społeczeństwo za słodkie jarzmo dla kobiety, które dobrze odpowiada jej łagodności, uprzejmości i łaskawości jej charakteru. I wtedy, gdy wokół niej rozlega się za poetą głośne wołanie: »incipit vita nova«, pozwala się kobieta ze świątobliwością i pokorą zwalczać przez bezrozumne przyzwyczajenie przeszłości. Czyż obecne wychowanie nie jest jakby stworzone po to, by podnieść jej wrażliwą wyobraźnię, zmącić rozum i z drogi właściwej sprowadzić jej uczucia?

Tak oto zatryumfowało »święte zło« w kobiecie.

W tej właśnie uroczystej przegrodzie, w tym głębokim rozdziale kultury kobiety z kulturą mężczyzny szukać należy źródła wielorakiego zła, z którego nie umiemy sobie zdać sprawy. Widzę często filozofów, dziwiących się, że pomimo ich wszelkich usiłowań, idea wolności i prawdziwego postępu ma tak małe powodzenie na niwie życia politycznego. Ale rzeczywiście istniejący stan rzeczy zmienić się nie może, dopóki widnieć będzie głęboka szczelina, która rodzinę dzieli na dwa pola walki przeciw sobie zbrojne: mężczyznę, dążącego do rzucenia się w przyszłość, i kobietę, wzdychającą z całej duszy do powrotu w przeszłość.

I nie da się on nawet złagodzić, jeżeli mężczyźni nie pomyślą, że trzeba dać siostrze swej, matce i towarzysze wykształcenia szerszego, pewniejszego, głębszego i bardziej jednolitego, wykształcenia prawego i szczerzego, którego dotychczas kobieta nie miała

zupełnie. Aby ulepszyć ogólne warunki społeczne, trzeba przede wszystkim przez harmonijne wychowanie ulepszyć warunki rodzinne.

Jakim jest ideał życia rodzinnego? Trzy tysiące lat już, przyjacielu, upłynęło od chwili, gdy stary poeta, kryształowo czysty i pogodny, jak błękitne niebo jego pięknej ojczyzny, Homer, określił ten ideał w czterech słowach: »jedna woła w dwojgu«. Mądry Ulisses nie może dać innej rady pięknej i naiwnej Nausikai, jak następującą: »jedna woła w dwóch osobach, gdyż nie ma na ziemi piękniejszego i bardziej wzruszającego widoku ponad dwoje małżonków wielką miłością połączonych, którzy domem swym rządzą zgodnie i harmonijnie«.

Lecz w jaki sposób, przyjacielu, otrzymać jedność woli tam, gdzie niema ani wspólności pragnień ani tożsamości dążeń?...

Równość i sprawiedliwość, rozszerzona poza zakresem wychowania na całe ludzkie życie — oto jedyne — co skutecznie odnowić może fundamenty życia społecznego, rodzinnego, doprowadzić do zniweczenia »świętego zła«. Sprawiedliwość woła. by kobietę nauczać wielkiej, wyzbytej wszelkich sprzeczności, nagiej, czystej, jak Fidjaszowska Minerwa, prawdy. Nauczać szczerze — dawać wiedzę, filozofję, gdyż one to jedyne mogą przysposobić jej umysł do przywrócenia go rzeczywistości i wzmocnić w walce z obłądną imaginacją. Kobieta się wyemancypuje, wyzwoli, nie tylko z nieświadomości, ale także z mylnej nauki, z tych połączanych sofizmatów, które obsypane błyskotkami, każą jej żyć w krainie marzeń, odrywają od poważnych zajęć realnego istnienia, i które, zabierając najważniejszą część jej serca dla jakiegoś nieznanego X, robią z niej martwy posąg cielesny, obojętny na najwyższe rozkosze i najgłębsze cierpienia, które się w łonie życia rozgrywają.

Widzisz więc, przyjacielu, że bynajmniej nie chcę oderwać kobiety od rodziny — przeciwnie, chcę ją rodzinie zwrócić—bo niema lepszego powietrza dla kobiety, jak ciepło domowego ogniska. Ale chcę kobiety wyzwolonej ze złudzeń, głównego źródła jej słabości, chcę kobiety, przywróconej sobie samej, swemu rozumowi, swym dobrym uczuciom, która będzie siostrą mężczyzny — choć dotychczas była jego pokorną niewolnicą.

Chcę kobiety, któraby rozumiała naukę Tego, który niegdyś do kobiety jednej, właśnie spotkawszy ją przy studni Jakóba, w te ozwał się słowa: »Wierz mi, iż idzie godzina, gdy ani na tej górze, ani w Jerozalemie nie będziecie chwalili Ojca, ale idzie godzina i teraz jest, gdy prawdziwi chwalczy będą chwalili Ojca w duchu i prawdzie»...

Chcę kobiety Dantego, pełnej «ducha miłości», która rozumu swego nie poddaje uczuciom, ale zachowuje skarb cudowny swego serca, wiedzą prawdziwą karmiony dla tego, który jej ułatwi szlachetne jej zadanie na ziemi.

Chcę kobiety rzeczywiście nowoczesnej a zarazem klasyczno-starożytnej; nie histeryczki, ekstatyczki lub szalonej, lecz umysł lotny i ukształcony, wolę silną i czystą, zdolną do pojęcia najwyższych przeznaczeń ludzkości i która stanie w szeregu bojowników świata.

Chcę kobiety takiej, jaką w myślach swych wyhodowali Wirgiljusz i Mazzini:—sanctissima conjux—kochankę i kopłankę dwóch świątyń, które się kiedyś połączą i staną niewzruszone i czczone na ruinach wszystkich innych: Szkoły i Rodziny — świątyni Wiedzy i świątyni Miłości.

---

XX.

Ale i to nie wszystko jeszcze, przyjacielu. «Święte zło» trzyma się nietylko przez podłą hypokryzję oszustów i błędne wychowanie kobiet, ale, jak wszystkie szkodliwe rośliny, korzenie swoje głębiej i szerzej zapuściło — z samego rdzenia ludzkości wykwita teraz, z wielkiej nędzy ludu... To najważniejsze i prawdziwe, żeby już nie powiedzieć, jedyne siedlisko zarazy! Czy przypominasz sobie, przyjacielu, pierwszego kapłana, którego ci w tym całym smutnym szeregu pokazałem? On znakomicie zrozumiał wielką tajemnicę, zrozumiał, że wszystkie religje są chorobą umysłu, mającą swe źródło w nie zrównoważeniu władz umysłowych, t. zn. w wyłącznej, niebywałej przewadze imagacji i uczucia nad rozumem.

Prawdopodobnie do zrozumienia tej tajemnicy przyczyniło się poznanie wpływu snów na człowieka. Zbadał on, że we śnie rzeczy najdziwaczniejsze, najbezsensowniejsze działają na nas silnie i przejmują zachwytem lub trwogą — jeżeli mają pewne cechy prawdopodobieństwa. Wpływ ich może być tak potężny, że człowiek jakiś nerwowy, chorowity, łatwo się podniecający — będąc przez sen nawiedzony, dostaje rodzaju paroksyzmu gorączki, rzuca się, mówi, drży, krzyczy, woła ratunku, zrywa się, ucieka, jakby przez furje goniony. Kapłan wyciągnął z tego wszystkiego następujący wniosek: nie trzeba wcale, żeby coś w rzeczywistości istniało, aby wiarę w człowieku wzbudzić. Żebym ja umiał tylko wywołać na jawie zjawiska podobne tym, które zachodzą we śnie, widziałbym ludzi ulegających moim rozkazom tak, jak teraz ulegają wpływowi swych sennych widziadeł, i miałbym ich przed sobą drżących za dotknięciem mego berła, w obłądnym szale... Ale jak tego dokonać, jeżeli rozum, ten cerber natrętny, czuwa u wrót praw-

dy? Lecz oto środek: (zawsze i wszędzie ten sam) zostawić silnych, czyli zdrowych, których liczbą jest mniejszość — i zagarnąć za to słabych, to znaczy chorych, opanować kobietę, opanować starca, kalekę, opanować cały ten zastęp istot źle ubranych, marnie odżywianych, nędznych, sinych, wychudłych i bladych, którzy są większością, przedstawić im to straszne widmo, ten druzgocący obraz: śmierć, mroki nieskończone, ognie piekielne, ofiarę niewinną, wreszcie zmartwychwstanie umarłych w tym świecie, gdzie biedni są bogatymi, a bogaci biednymi. Naprzód »nie chodzi o to, by działać sprawiedliwie, chodzi o to, by działać silnie«.

Kapłan się nie zawiódł. Okrutny ten obraz zakorzenił się silnie w słabych i wrażliwych mózgach — w mózgach, do których napływ krwi jest tak raptowny, jak uderzenie rumieńca na lica dziewczyny, spotykającej ukochanego. Ten silny napływ krwi do głowy wywołuje następstwa bardzo zbliżone do fizjologicznej przyczyny snu. Jak we śnie, rozsądek śpi. Człowiek chory, słaby, źle żywiony i wiecznie głodny, śni w stanie jawy, miewa halucynacje, nie zdając sobie nawet z nich sprawy. On nawet widzi i słyszy wszystko, co kapłan jego umysłowi podsunie; żeby to nawet były okropności tak wielkie, jak kolos Memnona, nowy Pygmaljon bez wahania nadaje im duszę i mówi z niemi, jak to czyni mała dziewczynka, gdy się z ulubioną lalką bawi.

Oto patologiczna geneza wszystkich religii, oto szkodliwe źródło władzy kapłańskiej: *«siła moralna kapłana pochodzi ze słabości fizycznej tłumu»...*

Nie widzisz na to lekarstwa? Jest ono bardzo jasne. Więcej niż trzy tysiące lat upłynęło od tej chwili, gdy mędrzy starożytni dali nań receptę i przez dziwną ironję wryli ją właśnie na murach jednej świątyni:

*«Zdrowa dusza w zdrowym ciele».*

Dzieło wychowania przypomina mi pod pewnymi względami zajęcie fotografa: najpierw trzeba mieć kliszę szklaną, przez saletrzan srebra dobrze przygotowaną, potem dopiero można ją poddać działaniu słońca.

Więc dajcie mi przedewszystkiem ustrój fizjologicznie normalny, t. zn. zdrowy. zrównoważony fizycznie — w którym rozum i wola — (która jest siłą powinowactwa w świecie ducha) posiadają bezwzględne królowanie i nie są igraszką oszalałych wyobrażeń... W takim dopiero organizmie psycho-fizycznym, w takiej duszy, w takim umyśle, w takim zdrowym i dzielnym mózgu, posiadającym zdolność przekształcania swej chemicznej energii na pracę intelektualną — w takiego to człowieka posiejcie pełnymi garściami płodne ziarna poznania: puszczą one kły i wydadzą bujne owoce.

## XXI.

Przypominam sobie, że dnia pewnego przeczytałem, zdaje się u Sextusa Empiricususa to dziwne zdanie: »najwyższe kryterjum prawdy ma swe źródło w woli«. W pierwszej chwili nie pojąłem znaczenia tego twierdzenia i możebym go i dziś nie rozumiał, gdyby nie pewna okoliczność, która mi pozwoliła wniknąć pod zasłonę tych dziwnych wierszy.

Przygotowywałem swoją dySSERTację doktorską. Pomimo niemożliwego upału, który pokój mój w prawdziwe piekło zamienił, pracowałem dwa tygodnie bez wytchnienia. W końcu wyczerpany umysłowo, uczułem, że żywotność mojego mózgu słabnąć zaczyna. Pracowałem jednak dalej i wtym uczułem, że przez nienormalną cyrkulację, krew wielką falą napływa mi do głowy. Stałem się wtedy świadkiem ciekawego zjawiska: widziałem, jak przed oczami duszy przesuwały się wszystkie idee mojej pracy, ale o ile przed-

tym rozsądek mój, oparty na woli, panował nad niemi, o ile na krótko przedtem wola spajając się ściśle z intuicją rozumową, przyjmowała lub krytycznie usuwała myśli, stosownie do ich treści, o tyle teraz, posiadając jeszcze zupełną świadomość prawdy i błędu, nie byłem jednak w stanie połączyć tych myśli, ubrać ich, zatrzymać lub odrzucić, i były one podobne do okrętu bez żagla i sternika, rzucanego przez fale tym silniejsze i bardziej porywające, im słabszym i bierniejszym stawał się rozum. Obojętnie obserwowałem to widowisko, odbywające się w moim mózgu; uczucie dało się bezwolnie porwać i unieść przez rodzaj zawrotu ideom i widziadłom, które silnie się rozpanoszyły. Zrozumiałem wtedy jasno znaczenie słów Sextusa Empiricusa, zrozumiałem, że prawda nie jest nigdy biernym wynikiem naszego mózgu, ale zawsze ostatecznym wynikiem sądu, który byłby niemożliwy bez rozumowego i stwierdzającego działania woli; zrozumiałem przedewszystkim jedną rzecz, bardzo ważną, która była mi objawieniem: że wszystko, co podnieca substancje mózgowe, obniża siłę woli, osłabia rozum, daje przewagę wyobraźni i uczuciom i (jeśli się wczas temu nie zapobiegło) prowadzi niechybnie do jednego z tych dwóch jednakowo szkodliwych rezultatów: do bezwzględnego sceptycyzmu, wtedy mianowicie, gdy wyobraźnia i uczucie nie zupełnie umysł opanowały, lub do ślepej wiary religijnej, do »świętego zła.« Dwa te rezultaty są tylko odmiennymi formami jednego i tego samego warjactwa, przez chorobliwy proces, który wyprowadza z równowagi i stopniowo osłabia substancje mózgowe — osłabia do tego stopnia, że umysł, nie zauważywszy nawet, przechodzi często z jednego stanu do drugiego: od wyuzdanego zwątpienia do niezwalczonej, szalonej, zupełnej wiary. Przykładem tego procesu był Pascal.

Chcesz wiedzieć, przyjacielu, jak się wyleczyłem z mego cierpienia duchowego? Odrobiną spokoju

i wielką ilością mięsa. Z chwilą, gdy mięśnie moje nabrały dawnej jędrności, gdy krew normalnie poczęła w naczyniach mózgowych krążyć, zbudziła się wola, rozum objął swe jednowładztwo, i sceptycyzm a z nim chorobliwe poczwary wyobraźni, które już moje uczucia zawojowywały, znikły, nie zostawiając żadnych śladów, jak ulotne cienie snów...

## XXII.

Powtarzam ci, przyjacielu, i od tej chwili musisz o tym pamiętać: rozwój myśli warunkuje się rozwojem ustroju fizycznego; człowiek myśli tak, jak je. Spójrz na przykład na jeden odłam narodów chrześcijańskich, ten mianowicie, który przyjął najmniej szkodliwą formę chrześcijaństwa, ten, który miał odwagę żądać reformy: członkowie jego żywią się pokarmem pożywnym, są synami północy — i w ten sposób objaśnisz sobie, że być protestantem a nie katolikiem jest tylko kwestją klimatu — wprost kwestją mniejszej lub większej ilości tlenu, który pozostaje w najściślejszym stosunku z rozwojem naszego organizmu.

Zwróć przeciwnie wzrok swój w inną stronę, a zauważysz, zbliżając się na południe, wzmożenie gorąca i zmniejszenie ilości tlenu; mieszkańcy tych krajów żywią się przeważnie pokarmami roślinnymi — i zobaczysz tam, że »święte zło« jest tam coraz silniejsze; rozkrzewiając się, dochodzi czasami do wrót szaleństwa.

Oto punkt widzenia czysto geograficzny, przyczyna, lub lepiej powiedzieć, wina warunków naturalnych — większą jednak stokroć jest tu wina ludzi, przyjacielu: pierwsza bowiem przeszkoda, która opiera się tryumfowi wolnej myśli, tej wolnej myśli, która jest koniecznym warunkiem naszej jedności, niepodległości i wyższości osobistej, polega nie tyle na nie-

świadomości, jak na głębokiej nędzy ludu, wywołanej przede wszystkim przez mylne ustanowienie ekonomji społecznej, nie dopuszczające, aby wszyscy ludzie żyli, jako ludzie, a zmuszające, przeciwnie, większość do życia wprost bydłowego, karmiąc ich jeżeli już nie sianem, to przynajmniej żywnością bardzo do niego podobną.

Ludy biedne, mój przyjacielu, są zawsze ludami religijnymi — i tym samym nieszczęśliwymi. Mogą one przez szereg lat, pięć, dziesięć wieków i więcej jeszcze mieć ustrój państwowy wolny i republikański, pozostaną zawsze ludem niewolniczym, pozostaną niewolnikiem tych czarnych mikrobów, które są skutkiem i przyczyną świętej dżumy.

Wspomniałem tutaj o chrystjanizmie; czy chcesz, bym ci i w tej kwestji powiedział szczerze swoje zdanie? Sądzę, że religja ta nie byłaby się nigdy rozwinęła bez plagi starożytnego niewolnictwa. »Niewolnik—to tylko pół człowieka«, powiedział ze słuszością Homer; ci właśnie pół-ludzie, niewolnicy, dali zatryumfować wierze Konstantyna. Nie dlatego jednak, iż z chrystjanizmu mogli wyciągnąć dla siebie pewne korzyści (papieże, nawiasem mówiąc, nie wyklęli nigdy handlu niewolników, i katolicka Hiszpanja właśnie jest ostatnim państwem europejskim, które najdłużej nie wytrzebiło niewolnictwa), ale dlatego, że niewolnicy wyniszczeni, słabi, z wyobraźnią pobudliwą, z swoim moralnym eretyzmem nadawali się znakomicie do szerzenia wiary »świętego zła«. Ci właśnie uciskani, nieszczęśliwi, kalecy niewolnicy stworzyli noc średnich wieków — nie zaś, jak to powszechnie się twierdzi, barbarzyńcy północy; ci ostatni bowiem przyjęli chrystjanizm ostatni i pierwsi nadali mu formę najbliższą rozwojowi myśli niepodległej.

Cofnij się myślą wstecz, po za ten długi szereg wieków i przenieś się za pomocą geologii i paleontologii w samo środowisko ludzi czwartego okresu.

Pokarmem ich było pożywne surowe mięso, i byli potężni, silni, pomimo tego, a może właśnie dlatego, że nie znali szkodliwego wpływu religji. Człowiek kopalny, znaleziony w Laugerie Basse jest tego najlepszym dowodem: zaskoczony został prawdopodobnie zniecka przez walące się mury swego domostwa i odnaleziony został w pięćdziesiąt tysięcy lat później prawie nienaruszony i pokryty wspaniałymi muszlami, które musiały mu służyć za zabawkę. Te muszle dowodzą, że sztuka istniała już wtedy, niezależnie od religji i rozwijała się w sercach tych czystych ludzi, jak jasny kwiat pierwiosnku (patrz: Mortillet »Le préhistorique« str. 475 i nast.).

I jeszcze raz powtarzam ci, przyjacielu: okropna zaraza religijnego raka nie przestanie pożerać ludzi i robić z nich ofiary ambicyjek i tyranji kapłanów, dopóki warunki społeczne nie zmienią się na takie, które każdemu dadzą możliwość prowadzenia rodzaju życia higienicznego, wygodnego, człowieczego. Uwidocznia się to najbardziej w samej istocie wszystkich religji, zalecają one bowiem bez wyjątku post i umartwienie ciała.

Pość, pość, woła kapłan, umęczaj swe ciało, cierp, znoś z cichym poddaniem wszystkie braki i gdy twe siły już się zupełnie wyczerpią, gdy nerwy twoje dojdą do tego stanu hyperestezji, że będzie je można magnetyzować, jednym słowem, jednym gestem, jednym tchnieniem — zacznij działać na siebie ten, kto działać umie.

Przypominam sobie, że czytałem kiedyś następującą anegdotkę Teofrasta: Wielki Perykles został rażony dżumą. Przyjaciele otoczyli jego łożo: jak się czujesz? zapytał jeden z nich, zaniepokojony upadkiem ducha chorego. Wtedy Perykles, nie otwierając ust, wskazał ręką na amulet, który domownicy mu na piersiach złożyli — a ruchem tym chciał dowieść, jak utrzymuje Teofrast, że jeżeli taki człowiek, jak on,

pozwolił na podobne głupstwo, to musi być już u kresu swego życia.» Tyle Teofrast. Aleś ty już rozumiał, przyjacielu, że człowiek-lis czeka tylko przychylniej chwili, żeby myśliciel (niech nim nawet będzie Littrè) doprowadzony został do zupełnej zatury sił, i gdy moment sposobny nadejdzie, dał się opanować temu *virus religiosum*, które my wszyscy słabiej czy silniej odziedziczyliśmy wraz z krwią w naszych żyłach. Rozpoczyna się działalność człowieka-lisa: podsuwa on i powtarza ciągle choremu jedną i tę samą myśl, działa nań swemi epileptycznymi gestami, wreszcie następuje wpływ śmiesznych ostatnich sakramentów, które ducha jego magnetyzują i usypiają. Wtedy kapłan, będąc już zupełnie pewny, że ma w rękach ostatnie tchnienie tego konającego umysłu, zaciska swoje sieci i przez naturalną w tym wypadku suggestję zmusza wielkiego myśliciela do spowiedzi całego swego życia. Zwyciężyłem, woła święty Tartufe. Rzeczywiście, udało mu się zabić nieżywy już umysł.

### XXIII.

Widzę, żeś mi dał znak jakiś, przyjacielu, i zdaje mi się, że myśl twoją rozumiem. Wskazałeś mi kapłana (nie wiem, czy jest on bonzem, popem, czy fakirem), który robi wrażenie wieloryba: czy on to jest ten najbardziej niewierny ze wszystkich śmiertelników? Rzeczywiście, przyjacielu, nie dalekim jesteś od prawdy. Gdyby bowiem odrzucić można śmiertelnośny wpływ wychowania, jakie otrzymuje dziecko, na kapłana przeznaczone — wpływ, który już bardzo wczesnie z tak zwanych seminarjów, będących właściwie laboratorjami chemji religijnej, kultuwującemi świętego mikroba zarazka fanatyzmu, w duszę jego wnika; gdyby z drugiej strony odrzucić można było

fakt, że bonz, pop, czy fakir pochodzą zwykle z niższych warstw ludności, gdzie dzięki przyczynom patologicznym, zgnilizna mistyczna jest więcej rozwinięta, niż w wyższych klasach społeczeństwa — wtedy nie zawahałbym się przed twierdzeniem, że badając jego czynności, trzeba przyjść do wniosku, że ze wszystkich wierzących jest on tym, który najmniej wierzy. Słyszałem kiedyś lamentacje młodej dziewczyny, zgorzzonej widokiem karykatury, przedstawiającej księdza, który po kazaniu schodzi z ambony, zanosząc się od śmiechu. Karykatura ta wydała mi się natchnioną przez Leona X, który kpił z jednego ze swych kardynałów, przekładającego Biblię nad Tacyta.

Kapłan głosi post, ale sam tyje, jak wieloryb. Lud przeciwnie, pości ciągle, niezależnie od wymagań religji, ale dlatego niestety, że ustrój państwowy nie daje mu chleba, i przez te ciągłe posty energia żywotności jego tak się osłabia, że nawet z pełną świadomością absurdu, wierzyć musi. Wierzyć musi, bo dla słabych, tych, których boki nie są opancerzone łuską wielorybią, niebo bywa nieubłagane.

Dlatego, mój przyjacielu, bezlitośny jestem dla wszystkich kapłanów. Wiem, że są oni nieszczęsnym produktem »świętego zła«, mając jednak zupełną świadomość swej smutnej roli, którą odgrywają, nie chcą starać się ulżyć złemu i zmniejszyć je przez dobrowolne ustąpienie i przyznanie swej nicości, co przecież zmieniłoby ich oplakane apostołstwo na święte zadanie nauczania ludzkości. Nie, przeciwnie, oni sami, ci podstępni i podli Tartufowie, stają się bacyłami nieczystej zarazy, nawet z niej korzystają, aby się znowu okrutnością i pychą wznosić na tron rządzący cierpiącą i obłądaną ludzkością<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Rozdział ten już był napisany, gdy się dowiedział o książce p. Guyau: »La religion de l'avenir«; znany z innych swych prac, jako myśliciel dzielny i odważny, zbliża

XXIV.

Światła, więcej światła — oto był ostatni okrzyk umierającego Goethego. My także, mój przyjacielu, musimy je błogosławić. Musimy je wzywać. Ale przede wszystkim, jak to już powiedziałem — ciało nasze należy przysposobić do przyjęcia go, gdyż nauczanie najprostsze nawet i najczystsze — mało przyniesie korzyści, jeśli padnie na nieprzygotowaną glebę — chcę powiedzieć: na mózg niezdolny zapłodnić swego posiewu.

Mówiłem o niewzruszonym, szczerym i wyzbytym z przesądów wykształceniu — chcę na ten temat rzucić jeszcze parę słów z serca.

Powiedziałem: wykształcenie; rozumiem przez to kulturę teoretyczną i praktyczną umysłu. Z kolei zadać mi musisz pytanie, jakie powinno być nowoczesne wykształcenie? Na pytanie to odpowiem obszernie w zapowiedzianej już pracy — dziś tylko zwrócę ci uwagę na wielkie błędy współczesnej pedagogiki, która nie rozumiała jeszcze, że w zakresie teoretycznym kształcenia największą rolę odgrywa kultura umysłu, w zakresie praktycznym wyłącznie rozwój woli.

---

się autor do moich teorii, szczególnie w swoim objaśnieniu fenomenów religijnych — i do tych samych co ja dochodzi wniosków.

Żąda on rozszerzenia zakresu władzy kapłanów, posiadających wykształcenie uniwersyteckie — sądząc, że w ten sposób wykształcony kapłan łatwiej pojmie, że jest nie tylko nieużyteczny, ale nawet zbyteczny.

Przyznając dodatni wpływ studjów uniwersyteckich — jako lekarstwo na szkodliwe i opłakane wpływy seminarjów, wątpię jednak, czy kapłan — nawet wykształcony, zechce dobrowolnie odstąpić od pełnego żłobu — i wszystkich przywilejów, które podziela z bratem swym — adwokatem — broniąc złych i zbrodniczych czynów.

Przedewszystkim — tak ja to rozumiem — trzeba w człowieku wykształcić poczucie rzeczywistości — i za cel jedyny wziąć sobie przystosowanie umysłu do pojęcia niewzruszalnych, pozytywnych praw życia, na wiedzy opartych. W ten sposób rozwija się, kształtuje, wzmacnia rozum przeciwko aberacjom i pokusom wyobraźni. Nie chcę bynajmniej przez to utrzymywać, że należy w człowieku zabić boską iskrę poezji — ale trzeba nauczyć umysł patrzeć trzeźwo — do przytłumienia rozbującej imaginacji, aby pole urojenia nie rozszerzało się kosztem pola rzeczywistości (a fortiori wykluczam panowanie absurdu), nie utrzymując bynajmniej, że jedno drugie wyklucza.

Oto leżą przed nami włoskie wypisy szkolne dla uczniów drugiej klasy gimnazjum. Po przesłicznej nowelce Castelnova, która nas prowadzi na łono pięknej rzeczywistości i natury — rzucają nas jednym rzutem w kraj cudów. Przeczytaj proszę streszczenie XVI rozdziału na stronie 73 i zobaczysz, w jaki sposób święty Franciszek ustanowił swój trzeci zakon, prawil kazania ptakom i jaskółki płochliwe do uważnego słuchania skłaniał. Przeczytaj jeszcze na str. 77 opowiadanie p. t.: »O świętym cudzie Ś-go Franciszka, który nawrócił okrutnego wilka«. Wilk, mój drogi przyjacielu, szedł na spotkanie świętego z rozwartą paszczą. Święty Franciszek zrobił znak krzyża, wilk stanął; a święty w te go wzywa słowa: Chodź tu, bracie wilku, w imieniu nieba rozkazuję ci nie zrobić krzywdy ani mnie ani innym». O cudzie! Wilk zamknął paszczę i jak posłuszne jagnię zbliżył się i padł świętemu do nóg. Nie widziałeś jeszcze nigdy, przyjacielu, takiego wilka? Wydawców zaś książki pytam, czy dając ten ustęp kopalnej prozy, chcieli przedstawić młodzieży cudowną bajkę, czy też opowiadanie o rzeczywistym historycznym fakcie? W drugim wypadku oszukują oni umysł i mącą rozsądek dziecka, dając do mózgu jego przystęp ukryte-

mu działaniu »świętego zła«, w pierwszym zaś wypadku powinni mieć odwagę nadania podobnym opowiadaniom tytułu »bajki« lub przynajmniej »moralnej przypowieści«: sens moralny nie straci nic na swej sile, i szczerść, która ze wszystkich cnót jest najwyższą (w literaturze, jak wszędzie) na tym tylko zyska.

Teraz pomówimy o kulturze praktycznej. Czyś nie zauważył, przyjacielu, wielkiej roli, jaką odgrywa wola w życiu myśliciela? Potrzebuje ona naturalnie jaknajwiększego rozwoju, lecz niestety przeciwko temu humanitarnemu celowi wszystko się sprzysięga. Ten drugi rodzaj »świętego zła«, który zaraża szkoły pod nazwą »pedantyzmu«, zdaje się być stworzonym po to tylko, by przedłużyć dzieciństwo człowieka, aż po jego lata męskości. I gdy po ostatnim egzaminie uniwersyteckim młodzieniec rzuca pełne ulgi westchnienie: »nareszcie jestem człowiekiem«, przychodzi nań dyscyplina wojskowa i znowu robi z niego maszynę, pozbawioną wszelkiej indywidualnej woli. Jeśli przypadkowo wolny jest od militarystyki, to pada nań polityka, ze swoim państwowym systemem krępowania, którą z zupełnym usprawiedliwieniem nazwę »polityką kapłańską«.

Zatym przyjacielu, dwa główne, nieodzowne potrzebne czynniki w wychowaniu są: Po pierwsze: wzmocnić i utwierdzić rozum, odsyłając człowieka do natury, czyli, jak mówił Pestalozzi (zwiastun nowej angielskiej szkoły asocjacji psychologicznej), stawiając go wobec zjawisk natury, i kierując od dzieciństwa myśli jego ku pojęciu jej kryterjów, praw, stosunków — słowem, jej wymagań, i po drugie (co jest jeszcze ważniejsze) wzmocnić w człowieku poczucie osobowości, które nie jest niczym innym, jak wolą w jej najdoskonalszej, syntetycznej formie. Wzmocnić ją można przez pozostawienie dzieciom i młodzieży większej odpowiedzialności swych myśli

i czynów, przygotowanie ich do zerwania ze wszystkimi szkodliwymi, odziedziczonymi przyzwyczajeniami i zmuszając ich do wypowiedania (jakiemikolwiekby były) swych sądów i pojęć — nie starając się o wpływanie na nie, gdyż wszelkie stosowanie swej powagi w dziedzinie myśli podobne jest dla mnie do protekcji pana Boga w dziedzinie wiary: ma ono zawsze tylko wartość subiektywną i czysto podrzędną.

Wreszcie, mój przyjacielu, najwyższe lekarstwo — to, które zjednoczy dwa poprzednie i które uważać można za środek najbardziej skuteczny dla utrzymania i uzbrojenia wiedzy przeciwko szaleństwom uczuć religijnych: jest wątpienie; nie szkodliwe i absolutne wątpienie Pascala, ale wątpienie zdrowe, przeznaczone i metodyczne: wątpienie naukowe Kartezjusza, Giordana Bruna i Vica. Oto, mój przyjacielu, wielkie wyzwolenie inteligencji, oto tryumf samowiedzy — to, co przyszła pedagogika uzna za swoją zasadę i cel wychowania: wątpienie.

Gdy zakorzeni się ono tak głęboko w naszych duszach, że stanie się stałym czynnikiem naszego mózgu, gdy szkoła zarówno jak rodzina przestanie fabrykować lalki i papugi, wtedy wychowanie, zapłodnione przez ciągłe ulepszenia społeczne, da ludziom siłę moralną, potrzebną do oparcia się narkotycznym wpływom kapłana — i ludzkość promieniejąca i tryumfująca powtórzy za odważnym Lukrecjuszem:

»Quare religio pedibus subjecta, vicissim

»Obteitur, nos exaequat victoria coelo!»

Te wiersze, mój przyjacielu, niechaj ci twój proboszcz przetłumaczy.

---

XXV.

Nareszcie czas zakończyć...

Mówiłem dotychczas o religjach, i na wstępie zaraz zaznaczyłem, że nie wolno pojęcia tego zlać w jedno z pojęciem Religji...

Religja! Chcesz ją poznać, przyjacielu? Dam ci wskazówki do tego poznania: usuń najpierw wszystkich kapłanów świata, tych, co byli i będą — gdyż kapłan i Religja wyłączają się, jak dzień wyłącza noc. Potym, ze swobodnym już umysłem, oceń, do jakiego wysokiego stopnia genjuszu, do jakiego przepychu wiedzy, przemysłu, sztuki — słowem, do jakich wyżyn doszła cywilizacja ludzkości, tej ludzkości, która niegdyś błędziła dzika i zwierzęca po samotnych uroczyskach dziewiczych lasów. I czy nie widzisz, że gdzieś het, z za mgieł mroku wieków powstaje ognek jakiś święty, co ją, jak kochanek mocarny ku sobie ciągnie? Nie widzisz, jak zwalcza ona wszystkie przeszkody, jak nie bacząc na niebezpieczeństwa, idzie naprzód, by zwycięsko stanąć u celu? Spójrz, tylu ich padło w drodze... Widzisz tych szaleńców, co braci swych chcą zatrzymać?... Widzisz, wielu z nich zabijają katowskie dłonie tych, co na wieczne ciemności zasługują, a bezkarnie żyją w słońcu? Ale to wszystko nic nie pomoże, ognek święty żyje i w płomień gorący urasta — *sicut cursores vitae lampada trahunt* — cały ten tłum nieporuszony jest, jak lodowa kra olbrzymia, co prze ciągle, ciągle niewzruszenie do swego celu.

Co to za płomień boski, spytasz, przyjacielu? Nie obawiaj się — to już nie błędne i czcze widziadło. To najgłębszy instykt serca ludzkiego — czasami przygaszany — ale niezniszczalny. To aureola świętego cierpienia męczenników ducha: święta trójca

ideału: Prawdy, Piękna i Dobra. Tak, przyjacielu, Religja mocna, ta Religja, co nie ma nic wspólnego z kapłanami, świecka Religja ludów cywilizowanych—Religja przyszłości, to kult tego pięknego ideału: kult świecki wiedzy—wcielenia prawdy; kult świecki sztuki—wcielenia piękna; kult świecki sprawiedliwości—wcielenia dobra...

Cóżby tu jeszcze mógł kapłan zdziałać? Czy potrzebował kapłana Galileusz, gdy dyktował swoje dialogi o systemie Ptolemeusza i Kopernika? Czy potrzebował kapłana Wincenty Vela dla stworzenia swych »Ofiar pracy«? Czy potrzebował kapłana Attilius Regulus dla uświęcenia śmiercią świętości swego słowa? To byli, przyjacielu, apostołowie jedynej prawdziwej Religji.

Tryumf wiedzy, tryumf sztuki, tryumf sprawiedliwości, tryumf prawości, tryumf wolności — przez nie tryumf równości, przez równość tryumf miłości — i ogólnego braterstwa. Oto, przyjacielu, królestwo boże na ziemi — cel ostateczny i święty prawdziwej Religji: Świecka Religja ludzkości. O dniu błogosławiony i upragniony — my nie dojrzymy twych świetnych brzasków na horyzoncie... Ale myśl, że w wiekach dalekich, w wiekach przyszłych, opromienisz napewno czoła naszych dzieci, daje nam już dzisiaj radość nieśmiertelności... A ponieważ synowie nasi rozumieją nasze dzieło i najlepszą część naszego ducha — myśli nasze w nich odżyją i powtórzą się, — wierzyć nam wolno, że kiedyś wydadzą owoce.

Czy możesz sobie wyobrazić, przyjacielu, postęp i szczęśliwość rodu ludzkiego wtedy, gdy ludzkość, która dotychczas zużywa czas swój drogocenny i pracę na jałowe praktyki bezsensownego kultu — działać i rozwijać się będzie mogła wśród świtu złotej i płodnej jutrzeńki — prawdy? Czy możesz sobie wyobrazić postęp i szczęśliwość ludzkości, wtedy, gdy pro-

dukta ich pracy nie będą przez świętych szarlatanów pożerane i mózgi stępiane świętą zarazą?

Czy wyobrażasz sobie te chwile, gdy ludzie zamiast modlić się, ślepo wierzyć — myśleć się nauczą?

Mogąż więcej żądać śmiertelnicy?

Ale, jeszcze mi na niebo wskazujesz, przyjacielu?... Nie—ci tylko, co na ziemi nie znajdują urzeczywistnienia swych marzeń, do nieba wzdychają. To nędza wymyśliła niebo. I dopóki będzie ona niszczyła energję ludu, pozostanie ona stroną zwyciężoną — w walce ze złem — i dzięki swej rozbującej, przez torturę i mękę pobudzonej imaginacji — szukać będzie musiał opory w niebie i bogu.

Dwóch poetów świata, których narodziny trzydzieści wieków rozdziela, zrozumiało to i wyraziło dwa prawie identyczne zdania: Im ludzkie są nędzniejsi, mówi Lukrecjusz, poeta natury,<sup>1)</sup> tym stają się nabożniejszymi

...Multoque in rebus acerbis

Acrius advertunt animos ad religionem.

Gdy uciśniony nie znajduje oparcia, mówi Schiller, piewca »Wilhelma Tella«, wznosi on do niebios błagalnie dłonie.

»Wenn der Gedrückte nirgends Recht kann finden,

»Wenn unerträglich wird die Last — greift er

»Hinauf getrosten Muthes in den Himmel.«<sup>2)</sup>

Ale wierzaj, przyjacielu, że od dnia, gdy przez nieunikniony i naturalny postęp ludzkości, zniknie z powierzchni ziemi nędza, a z nią iluzoryczne marzenie chorej fantazji, od dnia tego szczęśliwość zapanuje, jako władczyni świata. Dzięki wspólnej pracy i braterskości zanucą ludzie chóralnie hymn króle-

---

<sup>1)</sup> De natura III.

<sup>2)</sup> »Wilhelm Tell« akt II.

stwa boskiego na ziemi i powiedzą filozofom: »Precz nam teraz nieśmiertelność, synami ziemi jesteśmy i w jej łonie spoczywać chcemy!...

I ty, szlachetny królewiecki myślicielu,<sup>1)</sup> któryś się łudził, że z powodzi metafizyki udało ci się wyłowić najwyższy postulat życia pozaświatowego — czyś ty nie zauważył nigdy, że spoczywa on niestety, na kruchych podstawach? Potrzeba, powiedziałeś, aby człowiek mógł żyć w innym świecie, ponieważ tutaj niema dlań sprawiedliwości. Ale czyż to nasze niezadowolenie z istnienia nie daje nam właśnie prawa przypuszczać, że tak samo byłoby nam wszędzie? Jeżeli sprawiedliwości nie może być w życiu teraźniejszym, czemuż wierzyć mamy, że udziałem naszym się w przyszłym życiu stanie? Jeżeli zaś ma się urzeczywistnić w życiu przyszłym, dlaczego odbierać nam tę wiarę, że prędzej czy później zatryumfuje ona i na ziemi?

I zresztą, mistrzu szlachetny, jeżeli ludziom potrzebne jest życie przyszłe dla złagodzenia okrutności ich losu na ziemi, czemu odbieramy nadzieję tego lepszego bytu zwierzętom? Czyż nie są one również nieszczęśliwe jak my?

A rośliny, filozofie — czy nie byłyby po stokroć szczęśliwsze, mając świadomość swojego istnienia? A minerały — czyż nie żądałyby również dla siebie nieba, aby mieć wyższy rodzaj życia? Widzisz, taka jest twoja logika »Czystego Rozumu« w przystosowaniu do rozumu praktycznego. I musisz, wielki duchu, także przyznać, że zachodzi konieczność szczerogo zżycia się człowieka z ziemią — przyznajesz również, że przez to możliwym staje się przypuszczenie, iż człowiek znajdzie w samym sobie lub wokół siebie środki i siły do urzeczywistnienia tutaj swojego ideału.

---

<sup>1)</sup> Kant.

Gdy duch nasz spełni ten obowiązek, gdy dzień nasz skończymy jako ludzie dobra — czyż i wtedy mamy odmówić atomom naszym powrotu do tego wielkiego Wszystkiego, które je nam pożyczyło i teraz z powrotem żąda dla wiecznej i świętej walki życia? Zdaje mi się, mówił przed śmiercią jeden z największych nowoczesnych badaczy ducha, John Stuart Mill, zdaje mi się to nietylko możliwym, ale pewny jestem, że w warunkach wyższych, a przede wszystkim szczęśliwszych życia nie będzie najnieznośniejszą myślą: myśl zniweczenia się, ale myśl nieśmiertelności. Zdaje mi się, że człowiek, nawet zupełnie zadowolony i nie śpieszący się z opuszczeniem teraźniejszości, znalazłby pociechę, a nie przyczynę smutku, w myśli, że nie na zawsze jest jak Kalipso przykuty do istnienia świadomego, które mu kiedyś stać się może ciężarem.<sup>1)</sup>

O przyjacielu, niech cię nic nie odrywa od prostej drogi! Odwagi! Oto płomień boski! Oto cel święty! Tam na horyzoncie, w jasnym blasku słońca, wschodzi Religja ludzkości. *Sursum corda*, przyjacielu!

Świat postępuje, prowadzony przez błogostawione światło Prawdy, przez Wiedzę i Filozofję — siostry nierozłączone, niebiańskie kapłanki, które w nieskończone światy unoszą na swych opiekuńczych anielskich skrzydłach myśli naszych bezmiary... I w ciemności spadają apostołowie nocy...

Naprzód, przyjacielu, naprzód. Nie daj się odstraszyć widmem śmierci: królestwo prawdy i sprawiedliwości na nas czeka, a »jako sprawiedliwość jest ku żywotowi« — rzekł jeden stary mędrzec, którego nawet kapłani uznali (Pror. Salom. XI. 19).

Naprzód, przyjacielu, przygotujmy żywot prawdy i sprawiedliwości, przygotujmy szczęśliwość wszech-

---

<sup>1)</sup> »O użyteczności religji«, dzieła pośmiertne.

ludzką i pocieszmy się myślą, że po śmierci choć atomy nasze niezniszczalnie drgać będą dalej w nieśmiertelnym wirze natury i dusze nasze żyć będą idealnie w tych umysłach, które jak my pracować będą nad urzeczywistnieniem królestwa bożego na ziemi...

I raz jeden jeszcze, przyjacielu—naprzód... A jeśli kiedykolwiek zechce cię ktoś z drogi twej zsunąć, wołając: »*Vade retro Satana!*« odpowiedz mu, bez obawy, iż jesteś w błędzie: Za dobrze znam teraz bogów, bym miał drzeć przed szatanem!...

---

M. —  
1880/1881 —





21024 /